Nr. 41 (1085). Warszawa, dnia 29 Września (12 Października) 1901 r. **Rok XXI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

WYBORY WĘGIERSKIE.

Stał się teraz na Węgrzech cud, nieszczęsty i po za Węgrami: wybory do sejmu odbyły się jako funkcya społeczno-narodowa, a nie jako robota rządowa. Skutek okazał się odrazu: stronnictwo, trzymające rząd w garści, nie utraciło wprawdzie panowania, ale zeszczuplało liczebnie, a żądze i interesa, dławione przewagą rządową w dawniejszych wyborach, w tych obecnych wykiełkowały nad poziom i zyskały własne organa we własnych posłach. Gdyby niezależność wyborców od wszelkich moralnych, tj. niemoralnych, wpływów, była większą, niewątpliwie wzmogłyby się jeszcze w siły wszystkie dławione dotychczas przekonania i dążności zbiorowe w przytłaczanych mniejszościach. Prawo liczby, samo przez się despotyczne, staje się w rękach rządu okrutnem. Nietylko na Węgrzech, ale na całym kontynencie Europy, w mniej lub więcej konstytucyjnych monarchiach, w Rzeczypospolitej Francuskiej równie dobrze jak we Włoszech, w państwie malem czy w wielkiem, ten kto trzyma rząd w swej mocy, trzyma też i wyborców za karki. W krajach, które żyją stronnictwami, a więc najlepiej w warunki wolności wyposażonych, ten despotyzm w narzucaniu kandydatur rządowych, mając pozory wolnego szerzenia przekonań, niemniej wyprawia harce gwałtu, i równie jak w państwach, gdzie konstytucye nie tracą charakteru dobrodziejstw oktryowanych, posługuje się siłą, wpływem i wszelkimi środkami rządu do funkcyi, przy której rządowi wolno być jedynie widzem i strażnikiem, a nawet wprost tylko do działania na rozkaz z zewnątrz gotowem ramieniem, bez własnego zdania, sądu i woli.

Gwałt w wyborach do sejmów narodowych nietylko fałszuje życie polityczne narodów, ale szczepi w nie moralną nieprawość i tak już bujnie pleniącą się w duszach, w indywiduach i w ciałach społecznych, trzęsienie wyborami, nie zostawia częstokroć z praw szumnie wygłaszanych nic, prócz marnych cieni. W narodach małych liczebnie i historycznie, w takiej Serbii np., jeśli się jest zuchwałym a silnie ster dzierży i w karbach trzyma prefektów i przeróżnych starostów i policyantów wiejskich, można mieć na zawołanie taką skupczynę, jaką się mieć chce: liberalny będzie miał liberalną, w parę lat potem radykalista przerobi ją na radykalną, i tak jedna jak druga będą uchodziły za delegacyę narodu, za prawowitą jego przedstawicielkę, streszczającą w sobie jego wolę. Kandydatura rządowa jest rakiem, toczącym życie polityczne Europy. Wykształcił ją i w spadku po sobie wraz z Sedanem zostawił przedewszystkiem Francyi, a potem Europie całej, mistrz w hasłach wolności, a fałszerz monety swobód w rzeczywistości, Napoleon III. Stopniowo tylko można się jej będzie pozbyć, a najpierwszym, najdzielniejszym środkiem powinno tu być zupełne odsunięcie wszelkich organów rządowych od wszelkiego wpływu na wybory. Podniesienie oświaty, wyrobienie własnych przekonań, a przynajmniej żądz, w masach narodowych, poprowadzi dobrą sprawę dalej, przyznanie zaś mniejszościom własnego przedstawiennictwa, przystosowanie prawa do natury, mechanizmu instytucyi państwowej do organizmu życia, przez uznanie całych stronnictw za rzeczywiste podmioty i praw wyborczych i funkcyj poselskich — mogą tylko ułatwić wyrzucenie fałszu i gwałtu.

Można było przewidywać, że wybory wolne, choćby nawet z dużą domieszką niewoli, nie będące już jednak robotą rządową, nie obędą się bez krwi rozlewu; ale przecież i niewolne, za dawniejszego porządku, ustalonego przez Kolomana Tiszę, zawsze krew zarumieniać musiała. W tym roku wylano ją obficie; śledztwo jednak dopiero pokaże, z czyjej winy: czy odpowiedzialność obciąży tę biedną wolność, której pierwszy raz kajdany rozkuto, czy też nieroztropne indywidua, bądź w samym organizmie wyborczym, bądź w całości tego ramienia porządku, któremu tylko na rozkaz z zewnątrz, wyciągać się wolno. W każdym razie obyczaje węgierskie, temperament węgierski nie sprzeniewierzył się swej sławie. W przewidywaniu gwałtów, zawczasu wysłano wojsko z Moraw i ze Styryi: dziwna usłużność armii austryjackiej i węgierskiej. Gdy się jest austryakiem, niepodobna lepiej pracować na niepopularność Węgrów. Dlaczego nie zostawić siły ukrócającej samym okręgom, narodowym ich honwedom? Nie będą mieli dostatecznej powagi, nie poradzą? Łatwiej się Węgry z Węgrami pogodzą, a kilka łbów roztrzaskanych mniej czy więcej dla polityki znaczenia mieć nie może. Przewidywania najzupełniej się ziściły. W wielkim Warażdynie, już przed wyborami toczono krwawe bójki. W kom. Tolna, aż 4 osoby padły od strzałów. W Pinczhely żandarmi zastrzelili trzech wyborców, w Takis jednego. Ogólną liczbę ofiar, jeśli nie odrazu trupem położonych, to tak ciężko rannych, że je śmierć później dla siebie zabrała, podają na dwadzieścia. Jest to rzeczywiście przykre, smutkiem nawet nad biedną ludzkością przejąć może; ale trudno: rzeczywistą siłę rozpędową życiu wogóle nadaje namiętność, a życie poli-

tyczne niesłychanie ją potęguje, stopień zaś nieobyczajonia rodzajowego za jej formy surowe, barbarzyńskie, dzikie bardziej może jest odpowiedzialnym od niej samej.

Węgry wraz z Siedmiogrodem, ale bez Kroacyi, wybierają 413 posłów, kraj rdzenny 336, nabyty 77. Telegraf nie odróżnia miast od wsi (komitatów), a jest to odróżnianie zasadnicze, miasta żyją prędzej, zachodzą dalej, strzegą swych praw lepiej. Na 398 wyborów, od 2 października, w którym czynność wyborczą rozpoczęto, do 7-go, do którego sięgają telegramy, 257 należy do stronnictwa liberalnego, 74 do stronnictwa Kossutha Franciszka, 20 do stron. kat. ludowego, 9 do Ugrona, 5 do Słowaków, 1 do socyalistów, 11 stoi po za stronnictwami („dzicy"), w 21 okręgach wynik nie jest jeszcze ostateczny — w nich wyszli z urn z największą ilością głosów 2 czy 3 Sasi siedmiogrodzcy. Pozostałe 15 okręgów złączone z nimi nie zmienią już rdzennie stosunków liczebnych. Najwybitniejsze są następujące fakta: utracenie około 40 pełnomocnictw przez stronnictwo panujące; wytworzenie i przeprowadzenie własnych kandydatur przez Słowaków, a w północno-wschodnim rogu kraju i Rusinów; wzmożenie się istotnie-narodowego, ale przytem przez swój radykalizm polityczny niedość rozważnego stronnictwa Kossutha; i wreszcie roztopienie się zupełne głośno niegdyś otrąbywanego stronnictwa Alberta Aponyego, który je „narodowem" nazywał. Jeżeli ruch przeciwko liberalizmowi, zbitemu gorączkowo, dla przemocy samą masą, z dawnych Deakistów i ze wszystkich żywiołów, których duszą jest tylko parweniuszostwo i bogacenie się — jeżeli ten ruch, powiadamy, nie zatrzyma się i pójdzie dalej — obok tego pożytku, jaki przyniesie Węgrom oczyszczenie się atmosfery moralnej, stwierdzić będzie potrzeba i niebezpieczeństwo, jakiem zagrozić może monarchii austryacko-węgierskiej panowanie Kossutowców, domniemanych spadkobierców stronnictwa liberalnego. Zatknięcie sztandaru unii osobistej w obecnem rozszarpywaniu Austryi wewnętrznej — równałoby się klęsce.

Tydzień polityczny. Francya nie przestaje nacierać na Turcyę. Teraz żąda już przywrócenia dawnych, a istotnie pozyskania nowych praw w Syryi. Nie pozwoliła spekulantowi Lorando na ugodę ze skarbem tureckim, dopomina się całkowitej sumy pierwotnej — opiekuje się widocznie małoletnim. Za warunek przywrócenia stosunków stawia wpuszczenie floty w Dardanele, a przeproszenie flagi u Złotego Rogu. Kryją się po za tym tekturowym gniewem jakieś poważniejsze zamysły polityczne. Wybryki Kurdów w Armenii, Albańczyków, kajmakanów i nawet baszów w Europie, nieład w rządzie, ubóstwo w skarbie, zdzierstwo w zarządzie, przy rozpalanych wciąż nanowo żądzach narodowości bałkańskich, wreszcie i niezadowolenie Krety, pragnącej siąść wyżej — wszystko to usposabia umysły do wyczuwania z nawału faktów, pozornie drobnych, zbliżającej się wcale już nie drobnej — kwestyi wschodniej, w nowej, pomnożonej edycyi. Gdy się umysł oderwie od maleńkich faktów codziennych, jedno tylko zadziwiać go może w zakresie tej wielkiej sprawy Wschodu, zaczynającego się w Europie, kończącego na Zatoce Perskiej: nienawiść Francyi, która nawet z kłopotów Anglii w Transwalu nie skorzystała dla wznowienia tradycyi pierwszego konsula, nie natarła dotychczas choćby tylko dyplomatycznie na Egipt. Za to Anglia sięga aż na same krańce. Wybornie położona pomiędzy pustynią Syryjską, Arabią i Mezopotamią pomorską przystań El-Kueit ma już nad sobą straż flagi angielskiej. Zajęcia formalnego jeszcze leopard brytyjski nie dokonał, ale ma nadzieję po kilku, może kilkunastu notach, ważne nader stanowisko pochwycić — mimo Niemców i Francuzów i całej nieprzyjaźni, jaką nowa zaborczość obudzić mogła w świecie dyplomatycznym.

Emir Afganistanu, Abdur-raman, umarł d. 2 b. m. Syn najstarszy zawiadomił o tem poddanych, ale nie wiadomo, czy jednocześnie objął już i rządy. Dla Rosyi i Anglii jest to wypadek pierwszorzędnego znaczenia. Z Beludżystanu i Afganistanu usiłują Anglicy stale zrobić sobie polityczne i militarne przedmurze Indyj. Od stepów turkomańskich i Pamiru sięga znowu w północną część tego przedmurza Rosya. Szesnaście lat temu było już naprężenie wojenne.

W Rzymie, w samym Watykanie, ujęto kelnera — i ci już zaczynają rządzić światem — kelnera Glavinovicha z Dalmacyi, w okolicznościach narzucających domysł zamachu na samego papieża. Chciał się on jakoby zemścić za odebranie fundacyi San-Girolamo Kroatom, miał zamordować to papieża, to Rampollę lub Parocchiego. Ze Spalato malują go jako anarchistę, mordercę, zabójcę, uczestnika zamachu na Stambułowa.

Papież w przeszłym tygodniu omdlewał: *conclave* uważać trzeba za niedalekie.

Bothę w Natalu i Zulunnii osaczają Anglicy, sam nawet Kitchener. Po tygodniu pomyślnym mają Boerowie znowu niepomyślny: dwa ich oddziały rozbito lub schwytano.

Król serbski wypiera się zamiaru osadzenia na tronie brata swej żony.

W Czechach zaczęły się d. 8 b. m. wybory. Czesi wytwarzają wspólny klub narodowy. Wszechniemcy Schönerera odosobnieni. Cesarz austryacki ubolewa nad rozbiciem Niemców. Engel wytyka pobłażliwość dla prusactwa austryackiego i piorunuje na trójprzymierze.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

CO ROBIĄ TOWARZYSTWA ROLNICZE?

Na zebraniu Towarzystwa rolniczego w Kaliszu p. Wojciech Wyganowski poddał ostrej chłoście działalność instytucyj ziemiańskich, zarzucając im jałowość, stratę czasu i pieniędzy: „Nawybieraliśmy bez liku przewodniczących, trzymających pióra, naczytaliśmy się protokółów z zebrania poprzedniego, nawybieraliśmy komisyj, nasłuchaliśmy się relacyj, naspszeczaliśmy się o to, co ustawa pozwala, a czego nie." Zebrania te, jak utrzymuje p. W., odbywają się bezładnie i nieprodukcyjnie: „Naprzód spóźniamy się, a potem 1 albo 2 godziny schodzą na czczych formalnościach: układaniu listy

---

Bret Harte.

Brat z Kalifornii.

(Dokończenie.

Hallonor podniósł się także. Burza, która nim wstrząsnęła, już ucichła. Wróciły zwykła mu stanowczość, energia i wśród innych wyróżniająca go bezgraniczna cierpliwość, zbudziło się silne poczucie obowiązku, które spało dotąd nieświadome na dnie duszy. Postanowił przyjąć narzuconą mu rolę, lecz ponieważ bierność nie leżała w jego naturze, zabrał się do tego gorąco.

— Najzupełniejszą ma pani słuszność — rzekł, podchodząc do niej — i ja nie mogę mieć o to pretensyi do pani; chcę tylko wierzyć, że z czasem nie będzie pani tak źle o mnie sądzić. A teraz co należy zrobić? Naturalnie, trzeba naprzód pogodzić się z Tomkiem—to jest, chciałem powiedzieć z Jimem — a potem pójdziemy prosto do dziewczyny. Nim zdołała zrozumieć tę nagłą zmianę w wyrazie jego twarzy i głosie, on już był na korytarzu i wracał z chłopcem, wyrywającym mu się z objęć.

— Patrzcie, co za niepoń! nie zna swego brata!—śmiał się, całując dziecko trochę może zbyt serdecznie — a chce, żebym ja ściskał pierwszego lepszego bębna, który mi się rzuci na szyję. Mam wielką ochotę nie dać mu tego, co przywiozłem dla niego z Kalifornii. Poczekajno!—Wpadł do sypialni, otworzył walizkę, gdzie jak każdy porządny górnik trzymał grudkę złota, którą pierwszą znalazł, porwał ją i, jednym skokiem wracając do salki, położył przed rozciekawionym Jimem.

Jeśli ta jego serdeczność oraz ujmująca dobroć obejścia i wyrazu twarzy, jakkolwiek nieoczekiwano, podziałały przekonywająco na młodą dziewczynę, to wpływ ich na chłopca okazał się jeszcze bardziej skuteczny. Dzieci niełatwo oszukać udawaniem uczuć nieszczerych, gdyż są niezmiernie wrażliwe na każdy fałszywy dźwięk głosu; Bob jednak nie udawał: czuł się istotnie wzruszonym, a choć co innego, niż się pozornie zdawało, było powodem tego wzruszenia, oni mogli je przyjąć za wybuch przywiązania braterskiego. Dzieciak przeto z ufnością przytulił się do niego i wyciągnął rękę po złoto, lecz Bob schował je do kieszeni.

— Musimy pierwej pokazać to siostrzyczce—rzekł.—Pojedziemy do niej zaraz. Idę zamówić sanki.

I pobiegł do kantoru, jak gdyby ruch i zajęcie sprawiały mu ulgę, a pannie Boutelle się wydało, że poprostu chciał uniknąć kłopotliwej rozmowy. Powrócił z ogromną skórą niedźwiedzią w ręku.

— Owinę w to panią i Jima — rzekł, obrzucając spojrzeniem jej zbyt lekkie ubranie—bo pada straszny śnieg.

Panna Boutelle zarumieniła się.

— Mnie dość ciepło — odezwała się chłodno.

Bob popatrzył na jej eleganckie obuwie i nie uwierzył. Nie rzekł nic jednak, lecz pospiesznie sprowadził swoich gości na dół. Na dworze wiatr pędził chmury śniegu; w głębi tego białego tumanu sanki wyglądały jak drobny, niewyraźny punkcik; gdy młoda dziewczyna oślepiona tą białością zatrzymała się na mgnienie oka na progu, Bob podniósł ją gwałtownie z ziemi i wsadził do sanek, usadowił Jima na jej kolanach, oboje szczelnie w skórę niedźwiedzią owinął, poczem sam wskoczył i, rozpytawszy się o drogę, ruszył z miejsca.

Ciemności i wicher nie pozwalały rozmawiać, to też raz tylko przerwał milczenie.

— Czy znajdę ja tam przy niej kogo, coby mnie pamiętał — zapytał korzystając z chwilowego uciszenia się wiatru.

Panna Boutelle odkryła twarz i dziwnie spojrzała na niego.

— Wątpię — rzekła. — Przecież dzieci przyjechały tu z Północy po śmierci matki, jak pan wie, a pan był wtedy w Kalifornii.

— No, tak—pospiesznie odrzekł Bob.— Ja tylko myślałem, że może przyjechał kto ze znajomych.

I znowu zapanowało milczenie.

Po chwili, choć z głębi futra, zabrzmiał głos lodowaty.

— A może pan sobie życzy, żeby obecność pańska pozostała dla wszystkich w tajemnicy. Zdaje się jednak, że w hotelu poznali już pana po pytaniu o Rickettsa.

obecnych, wyborach przewodniczącego, nieobeznanego z regulaminem, nieświadomego przedmiotu, niemającego wprawy w prowadzeniu debatów. „Słuchacze, zmęczeni i głodni, wynoszą się potrochu i często najważniejszy punkt obrad odbywa się przy kilkunastu osobach, które, by się prędko skończyły, na wszystko się zgadzają i nawet nie biorą pod uwagę projektu, choćby najrozumniejszego.“ To też, według świadectwa p. W., coraz mniej członków bywa na zebraniach, które budzą coraz mniejsze zajęcie a coraz większe zniechęcenie.

P. Wyganowski oblicza straty ziemian w sposób następujący: „Zjeżdżaliśmy się sześć razy, mniej więcej po 60 członków. Każdy z nas wydał choćby tylko po 10 rb. (trzy czwarte członków zjeżdża z dalszych stron i siedzi w Kaliszu 2—3 dni). Zatem, prócz poważnych strat w domu, których nikt nie może obliczyć, wydaliśmy około 4,000 rb.“

Czy tak jest istotnie? Czy Towarzystwa rolnicze rzeczywiście pracują jałowo i ze stratą ziemian? Sąd zanadto ostry i niesłuszny. Są to instytucye jeszcze bardzo młode, niedoświadczone, dlatego może tracą za dużo czasu na załatwianie formalności wstępnych i na rozprawy odbiegające od głównej treści. Może zresztą „wynoszenie się słuchaczów“ nie zawsze wynika ze zmęczenia i głodu, lecz poprostu z lenistwa i chęci rozerwania się z towarzyszami. Toż nieraz w warszawskiej sekcyi rolnej, pomimo że tam wcale nie tracono czasu na rzeczy niepotrzebne, widzieliśmy, jak słuchacze już po godzinie tłumnie opuszczali posiedzenie lub zbierali się na głośną, wesołą pogawędkę w pokoju sąsiednim, podczas gdy na porządku dziennym były bardzo żywotne sprawy, dotyczące kwestyi bytu całego ogółu ziemian, sprawy, które tylko zbiorowo przy jak najliczniejszym udziale słuchaczów można było należycie ocenić i załatwić.

Działalność Towarzystw rolniczych, jakkolwiek pod wielu względami szwankuje, nie jest jednak jałową. Można tylko to powiedzieć, że za mało jeszcze było czasu na to, ażeby tę działalność dało się wyraźnie uwidocznić i ująć w pewne cyfry. Rachunek p. Wyganowskiego jest bardzo względny i naciągany. Oblicza on cztery tysiące strat skutkiem wydatków, poniesionych na podróż do miasta. Nie oblicza, bo i nie może zresztą obliczyć, ile rolnik zyskuje na zogniskowaniu swych spraw w danej instytucyi, na wyciągnięciu go z zaścianka i włączeniu, jako luźnego ogniwa, do łańcucha ogólnych interesów, które się wiążą nietylko z interesami pachciarza, skupywacza zboża, jaj i świń, lecz ze sprawami ekonomicznemi i społecznemi różnych dziedzin życia, a nawet z międzypaństwową polityką ekonomiczną. Ile więc rolnik zyskuje na zogniskowaniu swoich spraw w Towarzystwie, to dopiero przyszłość pokazać może. Co zatem p. Wyganowski nazywa stratą, może być tylko nakładem, przyczyniającym się do wytworzenia pracy łącznej, skutecznie walczącej z niedomaganiami i ruiną.

Uwagi p. Wyganowskiego, wzięte jednostronnie, mogą tylko osłabić znaczenie towarzystw rolniczych. Trzeba istotnie wprowadzić większy ład na zebraniach, trzeba do kierowania obradami powoływać ludzi energicznych i wprawnych, ale nie należy zniechęcać członków do ich instytucyi. Sam mówca twierdzi, że wiele spraw przy dobrej woli można przeprowadzić, tylko że „każdego opuszcza chęć opracowania projektu, gdy zgóry wie, że nie będzie słuchanym, lub że projekt ten wysłuchanym będzie bez posunięcia go po dalszej drodze.“ Otóż wszystko w znacznej mierze zależy od umiejętnego szafowania czasem i gospodarki wewnętrznej obrad. Trzeba na czele porządku dziennego umieszczać przedewszystkiem sprawy najżywotniejsze; trzeba pisać protokóły zwięźlejsze i wprawiać się w załatwianiu wszelkich formalności wstępnych, które dziś zbyt dużo czasu pochłaniają.

Towarzystwa rolnicze umieją poruszać sprawy żywotne, ale czy zawsze je załatwiają i oświetlają właściwie? Niestety, mamy znamienne przykłady, które bardzo niekorzystne światło rzucają na ziemian, a raczej pewne ich grupy. Prawie wszystkie Towarzystwa rolnicze żywo zajęły się kwestyą uregulowania stosunku ekonomicznego robotników i oficyalistów wiejskich do właścicieli ziemskich. Towarzystwo łomżyńskie opracowało osobny memoryał i rozesłało go wszystkim innym instytucyom tego rodzaju w Królestwie Polskiem. Całą sprawę zarobkową i związane z nią wychodźtwo memoryał zaleca rozstrzygnąć na drodze prawnej: „Liczni robotnicy, mając każdej chwili możność poszukiwania zajęcia po za granicami kraju, po zawarciu umowy już tu, na miejscu i po otrzymaniu zadatku na służbę, lub podczas nawet trwania umowy albo nie przybywają do obowiązku, albo samowolnie porzucają służbę bez najmniejszego do tego powodu— i uchodzi to im bezkarnie!..“ „Obowiązujące dziś w Królestwie Polskiem prawo pod tym względem odnośnie robotników rolnych najmniejszej nie daje gwarancyi i zupełną służącemu zapewnia bezkarność. Ustawa o służbie z d. 24 maja 1860 r. w związku z postanowieniem Komitetu do spraw Królestwa Polskiego z d. 21 lipca 1876 r., za niestawienie się do zadatkowanej służby określa karę trzytygodniowego aresztu; w wypadku zaś samowolnego opuszczenia służby — karę cielesną (później zniesioną), oraz wynagrodzenie szkód i strat. Prawodawstwo w Cesarstwie inny zupełnie na tę kwestyę wyraziło pogląd i w ustawie o karach wymierzanych przez sędziów pokoju, zabezpieczając interesy rolników i wogóle porządku pracy, o wiele surowsze wyznacza kary (do 3 miesięcy nawet aresztu). Odnośne artykuły 51^1, 52^2 i 53^3 nie mają zastosowania u nas w Królestwie (Tom XII Zb. praw w Cesarstwie). Zastosowanie środków karnych, jakie stanowi ustawa sędziów pokoju, wyprowadziłoby nas z tego krytycznego położenia.“

„I dlatego na zasadzie wymienionych racyj, oraz gruntując się na art. 5 ustawy naszego Towarzystwa, mamy zaszczyt — mówi memoryał — w imieniu tegoż Towarzystwa najpokorniej prosić o wyjednanie rozszerzenia mocy obowiązującej art. 51^1, 52^2 i 53^3 ustawy o karach, wymierzanych przez sędziów pokoju, na gubernie Królestwa Polsk., o stosowanie kar tymi przepisami określonych w razie nastąpienia pomiędzy prawodawcą i służącym zarówno słownej, jak i piśmiennej umowy lub też we właściwej drodze, w uzupełnieniu obowiązującego dziś prawa z d. 24 maja 1860 roku, zastosowanie do gubernij Królestwa Polskiego przepisów działu IV art. 69 do 104 włącznie ustawy o służbie rolnej z r. 1893 ze skutkami, wypływającymi z art.

Jim fotografię pokazał im parę tygodni temu.

To wyjaśniło Fallonerowi uprzejmość uśmiechu szwajcara i pominięcie formalności z zapisaniem nazwiska.

— Możemy jednak zapobiedz jeszcze, żeby to się nie rozeszło dalej — dodała, a w głosie jej zabrzmiała znowu poprzednia wzgarda.

— Nie mam potrzeby ukrywać się—odparł Bob stanowczo.

Nie mówili już więcej, aż sanki stanęły przed prostym drewnianym domem na przedmieściu. Była to widocznie, jak Bob osądził jednym rzutem oka, siedziba jakiegoś pracowitego rzemieślnika lub sklepikarza, w której chora nie mogła mieć żadnej wygody. Wprowadzono go do chłodnej bawialni; a tymczasem panna Boutelle pobiegła z Jimem na górę, ażeby chorą przygotować na jego przyjęcie. Kobieta, która im drzwi otworzyła powiedziała jej coś, od czego — Bob dobrze widział — twarz dziewczyny zasępiła się i pobladły rumieńce wywołane przez zimno. Uderzyło go też, jak w tem ubogiem otoczeniu uwydatniała się jej dystynkcya wrodzona, z jakim szacunkiem traktowała ją ta kobieta, gdy jemu okazywała ledwie ukrywaną niechęć. Lecz to ostatnie sprawiało mu pewną ulgę. Nie byłby w stanie znieść ich uprzejmości pod tymi fałszymymi pozorami: a naganę przyjmował chętnie, bo ona łagodziła poczucie winy.

Po chwili młoda dziewczyna wróciła, lecz z oczu jej patrzał niepokój. Cesi było gorzej, chwilami tylko odzyskiwała przytomność. widzieć go jednak chciała. Niewiele schodów prowadziło do sypialni dziecka, lecz idąc po nich, serce Boba biło mocniej, niż wówczas, kiedy na najwyższe wdzierał się góry.

W jednym rogu skromnie umeblowanego pokoju stało łóżeczko na kółkach, a na niem leżała chora dziewczynka. Jej rozgorączkowana, jasnymi włosami okolona twarzyczka, była uderzająco do Jima podobna, choć cierpienie wydelikatniło i uduchowiło ją jakimś wyrazem nieziemskiego uniesienia—prawdopodobnie spowodowanego majaczeniem gorączkowem — który przeraził Boba. Zadrżał i zawahał się: czuł, że wobec tej istoty na śmierć skazanej nie będzie mógł kłamać. Lecz dziecko, jak gdyby odgadując stan jego duszy, wyciągnęło tkliwie do niego ręce, a on padł przy niej na kolana. Owinąwszy sobie wąs Boba naokoło paluszka, dziewczeczka leżała cicho. Była przytomna, patrzyła z wyrazem zaufania i radości, lecz nic nie mówiła.

Tak wszyscy milczeli przez chwilę. Potem Falloner, nie odwracając głowy, aby nie ruszyć tego, zlekka przytrzymującego go paluszka, dał znak pannie Boutelle, aby się przybliżyła.

— Czy umie pani powozić? — zapytał szeptem.

— Umiem.

— Więc niech pani wsiądzie w sanki i przywiezie najlepszego doktora, jaki jest w mieście. Niech go pani z sobą koniecznie przywiezie. Jeśli nie będzie mógł zaraz przyjechać, niech pani wraca do domu. Ja tu zostanę.

— Ale — zaprotestowała panna Boutelle.

— Ja tu zostanę! — powtórzył.

Drzwi się zamknęły za młodą dziewczyną i po chwili Falloner, klęcząc pochylony nad dzieckiem, usłyszał dźwięk dzwonków, oddalających się sanek. Klęczał tak długo, przytrzymywany dotknięciem cieniutkich paluszków i badawczem spojrzeniem tak uporczywie w niego wpatrzonych oczu dzieweczki, że aż pani Ricketts zapytała, pochylając się nad nią:

— To Dick, twój brat, kochaniu. Czyż go nie poznajesz?

Usta dziecka drgnęły lekko.

— Dick nie żyje — szepnęła.

— Majaczy — rzekła pani Ricketts. — Odezwij się pan do niej.

Lecz Bob, nie odwracając oczu od wzroku dziecka, dał ręką znak milczenia.

— To nie Dick — to jest anioł, którego Pan Bóg przysłał, żeby mi powiedział...

To były jej ostatnie słowa: Bo kiedy panna Boutelle wróciła z doktorem, ona już znajdowała się po za granicą ludzkiego głosu.

Falloner miał ochotę całą noc zostać z nimi, lecz widział, że jego obecność krępowała wszystkich. Nie pozwolono mu nawet zabrać Jima do hotelu, więc o północy sam wrócił.

Można sobie łatwo wyobrazić, jakie były jego myśli tej nocy. Cesia stanowiła dla niego jedyną przeszkodę do wyznania prawdy i wykazania swej osobistości,

51^1, 52^2 i 53^3 ustawy sądów pokoju.“ Nie wiem, kto jest twórcą tego znakomitego memoryału; przypuszczam, że nie wyszedł on z głowy jednego człowieka, lecz jest owocem narad całej grupy członków Towarzystwa. Jeżeli tak — to mamy świadectwo bardzo wymowne, że wśród ziemian budzi się atawistycznie cecha przodków, regulujących stosunki wsi do dworu za pomocą środków dyscyplinarnych. Cecha ta nabiera znamiennego znaczenia w stosunkach dzisiejszych: harmonizuje ona bardzo z dążnościami i wymaganiami produkcyi.

Na ostatnim zjeździe górniczym w Warszawie, kiedy poruszono sprawę braku rąk roboczych w zagłębiu Dąbrowskiem, ze strony interesowanych wyszedł projekt zamknięcia granicy dla ludności z Królestwa Polskiego, wychodzącej do Niemiec na zarobki i zarazem otworzenia jej do Królestwa dla nędzarzy galicyjskich. Tym sposobem granica stałaby się skutecznym regulatorem płacy zarobkowej na korzyść przemysłu górniczego, a pośrednio i rolniczego.

Memoryał Towarzystwa łomżyńskiego w zasadniczej swojej idei bardzo jest zbliżony do powyższego wniosku, postawionego na zjeździe górniczym. Inicyatorowie, chcąc działać energicznie i skutecznie, rozesłali swój projekt wszystkim Towarzystwom rolniczym, proponując, ażeby go przyjęły i jednomyślnie przedstawiły władzy właściwej. Dotąd nie wiemy, jak inne Towarzystwa na ten projekt się zapatrują, ale to tylko wiemy, że śród członków tych instytucyj są ludzie, obdarzeni wyższem poczuciem społecznem i humanitarnem, którzy nie dopuszczą, ażeby przeprowadzenie tego projektu zniesławiło ogół ziemian. Podczas obrad rolników już niejednokrotnie mieliśmy sposobność słyszeć głosy, potępiające bezwzględne i jednostronne traktowanie kwestyi robotników i najemników wiejskich.

Niewątpliwie i obecnie ludzie ci wystąpią z projektem przeciwko memoryałowi Towarzystwa łomżyńskiego, które zawiłą i ważną sprawę społeczną rozstrzyga środkiem dyscyplinarnym. Koza, grzywny i zamknięcie granicy mają uregulować zarobki i stosunki wsi do dworu! Gdyby ten projekt wcielono w życie, Towarzystwo łomżyńskie zyskałoby sobie wiekopomną... niesławę. Miejmy jednak nadzieję, że ten wniosek znamienny da tylko sposobność innym Towarzystwom do wszechstronnego zbadania kwestyi pracy najemnej na roli, co oczywiście pociągnie za sobą bezwzględne potępienie surowości jako środka rozwiązania tak ważnej i zawiłej sprawy społecznej.

Zen. Piet.

LISTY GALICYJSKIE.

Hasło uprzemysłowienia Galicyi zdobyło w ciągu kilku lat ostatnich wielką popularność w prasie lwowskiej i krakowskiej i, gdyby Galicya posiadała tyluż kapitalistów, pragnących zakładać fabryki, co dziennikarzy, pisujących artykuły o konieczności uprzemysłowienia Galicyi, ta ostatnia dawnoby już posiadała wysoko rozwinięty przemysł fabryczny. Niestety, dobre chęci dziennikarzy nie wystarczają, a szlagonerya galicyjska—tj. jedyna warstwa, rozporządzająca wielkimi kapitałami, ciągnie zbyt znaczne korzyści z rolniczego charakteru kraju, ażeby się mogła dać przekonać dziennikarzom o dobroczynnych wpływach przemysłu. Obszarnik galicyjski rozumie doskonale, że rozwój przemysłu fabrycznego odciągnie do miast robotnika rolnika, dziś pracującego za pół-darmo; pocóż więc ma narażać się na ryzyko, kiedy ziemia, dzięki Bogu, daje dochody niegorsze? To też w żaden sposób nie chce uwierzyć dziennikarzom liberalnym i demokratycznym, że przemysł byłby dobrodziejstwem dla kraju. Kraj? Cóż obchodzi magnata podolskiego lub podkrakowskiego kraj? Tani robotnik rolny — to grunt, a resztę niech dyabli biorą—oto filozofia życiowa szlagona galicyjskiego. Jeszcze rafinerya wódki — to jakoś ujdzie, ale budowanie fabryk, odrywanie rąk od roli, przyczynianie się do wzniecania fermentów społecznych, przysparzanie głosów wszelkiego rodzaju przewrotowcom przy wyborach, na to szlachcic galicyjski nie da się złapać.

Wobec tego, że jedyna warstwa, posiadająca większe kapitały, zachowuje się względem projektów uprzemysłowienia Galicyi albo wrogo albo obłudnie, daje się tam spostrzegać pewne dziwne zjawisko. Mianowicie, skoro podnosi się kwestya przemysłu, na scenę wychodzą ludzie, nie posiadający nic na poparcie tego, tak upragnionego przemysłu, po za dobremi chęciami i szerokimi projektami. Nic więc dziwnego, że wszelkie narady i zebrania takich „przemysłowców“ nie mogły doprowadzić do żadnych poważnych wyników. „Pierwszy zjazd przemysłowy,“ który się odbył w drugiej połowie września w Krakowie, miał do pewnego stopnia odmienny charakter, gdyż wzięli w nim udział obok przemysłowców - publicystów i prawdziwi przemysłowcy; ale czy trzechdniowe jego obrady dadzą jakieś praktyczne wyniki, o tem można wątpić. Wygłoszono cały szereg dobrych i kiepskich referatów, wyświetlono niejedną kwestyę, poddano krytyce stosunki obecne, ale na tem też koniec. Pod wpływem zjazdu krakowskiego nie powstanie żadna fabryka, nie otworzy się żadna kieszeń szlachecka na cele przemysłowe, nie rozwinie się żadna nowa gałąź przemysłu. Jedyna korzyść ze zjazdu krakowskiego—to spopularyzowanie hasła uprzemysłowienia Galicyi w szerokich kołach społeczeństwa.

Na zjeździe tym uwidoczniły się jaskrawe przeciwieństwa poszczególnych grup galicyjskich sfer przemysłowych, gdyż brały w nim udział żywioły drobno - rękodzielnicze obok wielko - przemysłowych i czysto-rolnych. Sprzeczność pomiędzy tymi dwoma ostatnimi zaznaczyła się najostrzej podczas rozpraw nad przyszłymi kanałami, mającymi, dzięki projektom ministra Körbera, przerznąć między innemi i Galicyę. Agraryusze galicyjscy bardzo niechętni są kanałom, za których pomocą do kraju będzie napływało tanie zboże; przemysłowcy zaś oczekują z tej komunikacyi pomocy wielkiej, dla rozwoju przedsiębiorstw fabrycznych. Ale i w gronie przemysłowców na tym punkcie nie było zgody. Przedstawiciele interesów galicyjskiego przemysłu węglowego sprzeciwiają się połączeniu Galicyi drogą wodną z Górnym Śląskiem, co ułatwiło-

---

śmierć jej zniosła tę przeszkodę. Nie miał więc powodu ukrywać się dłużej, mógł wszystko wyznać pannie Boutelle i wystąpić z propozycyą przybrania chłopca. Postanowił jednak zrobić to dopiero po pogrzebie, aby uczcić jeszcze pamięć Cesi i odegrać w ceremonii rolę głowy rodziny — Dicka Lashama. Nie zwierzył się jej, gdyż lękał się wrażenia, jakie jego kłamstwo wywrzeć mogło, pomimo wszelkich innych etycznych względów. Był człowiekiem tylko, a chociaż w zasadzie postąpił bez najmniejszego egoizmu w tej sprawie, nie miał jednak odwagi przyznać się, jak bardzo ona wpłynęła na to postępowanie. Zamierzał więc zaraz po pogrzebie wyjechać i z drogi napisać do niej, wyjaśnić swoje postępowanie i dołączyć list Daddy'ego jako dowód. Tymczasem w szkatułce listu nie było, po stracie więc tego jedynego świadectwa mógł teraz liczyć tylko na to, że zechce uwierzyć jego słowu.

Tymczasem podczas pogrzebu musiał przejść najcięższe próby. Wszyscy okazywali mu wyraźną niechęć. Nawet duchowny nie omieszkał skorzystać ze sposobności ostrzeżenia swoich owieczek, żeby spełnienia obowiązku nie odkładały zbyt długo. Bob wyszedł z kościoła blady, lecz spokojny, prowadząc pod rękę pannę Boutelle, także bladą i milczącą; znaczące uśmiechy na twarzach otaczających o mało jednak nie odebrały mu panowania nad sobą.

— A tak — szeptano tu i owdzie— Amy Boutelle, zaręczam, natchnęła go tą skruchą.

— A i ona ma dobry węch, widzicie, on jest bardzo bogaty — odpowiadano.

U drzwi kościelnych wziął jej rękę jak lód zimną.

— Jutro rano wyjeżdżam z Jimem — rzekł, a twarz miał bardzo bladą.—Żegnam panią.

— Dobrze pan robi; żegnam pana — odpowiedziała krótko, rumieniąc się lekko.

Nie mógł zgadnąć, czy słyszała także.

Jakkolwiek było, wracała z panią Ricketts do domu, przejęta oburzeniem, którego nie ukrywała, jak to było jej zwyczajem. Czyż to po chrześciańsku tak wytykać błędy zapomnienia: to ubliżało nawet pamięci zmarłej, która mu przebaczyła. Ona na jego miejscu nie stąpnęłaby więcej nogą w tem mieście, i on powinien tak zrobić. Gniew jej złagodniał trochę, gdy, wszedłszy do domu, zastała Jima, zalewającego się łzami. Zgubił fotografię Dicka albo może Dick zapomniał oddać mu ją w hotelu, bo miał tylko to w kieszeni... Mówiąc, podawał jej zgubiony list Daddy'ego, który Falloner dał mu przez pomyłkę zamiast swojej fotografii. Panna Boutelle odczytała adres, zaciekawiona marką kalifornijską.

— Czyś zaglądał do środka? — może tam jest...

Jim nie zaglądał, ale zajrzała panna Boutelle — i przykro mi wyznać — przeczytała od początku do końca.

Następnego ranka Bob spakowany i gotów do drogi, czekał już tylko na przybycie Jima z panem Rickettsem, gdy do drzwi zapukano zlekka i na progu ukazała się panna Boutelle.

— Posłałam Jima do sypialni, ażeby poszukał fotografii, zamiast której to mu pan dał — rzekła, uśmiechając się lekko— Sądzę, że będzie wolał fotografię brata niż ten list, którego ja nie wyjaśniłam ani jemu, ani nikomu. — Tu umilkła na chwilę. — Sądzę, że mógł mi pan zaufać, panie Falloner — rzekła nakoniec łagodnie, podnosząc oczy na niego.

— A przebaczy mi pani?— pytał gorąco.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Czy pan chce, żebym powtórzyła ostatnie słowa biednej Cesi?

* *

W rok potem, kiedy deszcz padał i ciemności zaczynały ogarniać Szychtę Sawyera, Houston i Daddy Falsom siedzieli przed ogniem w dawnej chacie Lashama, a Daddy mówił:

— Dziwne są te wieści o Bobie. Bo że się ożenił, to nic nadzwyczajnego, to może się trafić każdemu, ale skąd u dyaska w tem ogłoszeniu o weselu piszą o jakimś małym bracie? Cały czas, co tu był z nami, gadał, że nie ma ani brata, ani swata. To mi w każdym razie jedno objaśnia: że się tak wzruszył bólem małego brata Dicka Lashama i wysłał mu pieniądze. Widzisz. On to mógł odczuć, wiedział dobrze, co to było. A jabym się założył, że wyście wszyscy wtedy za głupca mię mieli, żem ten list czytał, a jednak widzicie, co on zrobił.

(Tłomaczenie z angielskiego).

by napływ węgla górno-śląskiego, współzawodniczącego z galicyjskim. Przedstawicielom zaś przemysłu fabrycznego chodzi przedewszystkiem o taniość węgla, a więc i o połączenie kanałem ze Śląskiem. Znaleźli się, co prawda, wśród uczestników zjazdu tacy, którzy pragnęli zatrzeć te sprzeczności, ale skutku zamierzonego nie osiągnęli. Pewien rozdźwięk wniosło wystąpienie przedstawicieli drobno-mieszczaństwa lwowskiego przeciwko przemysłowi fabrycznemu. Zaciekłość partyjna wyrażała się na zjeździe przemysłowym w fakcie niewybrania na prezesa honorowego dr. Rottera, jedynego posła demokratycznego, wybranego w Krakowie, człowieka posiadającego znaczne zasługi na polu przemysłowo-technicznem. Dopiero na skutek silnej opozycyi w łonie uczestników zjazdu, mianowano go jednym z 18 prezesów honorowych. Prezesem zjazdu obrano hr. Andrzeja Potockiego, właściciela kopalni w Chrzanowskiem, który z iście magnacką „nonszalancyą“ wyjechał zaraz po otwarciu zjazdu... na polowanie.

Zresztą wyjazd na polowanie hr. Potockiego był o tyle usprawiedliwiony, że tam właśnie miał p. hr. postarać się o protekcyę jednego z członków rodziny panującej i wskutek tego osłabić szanse innych kandydatów do laski marszałkowskiej po St. hr. Badenim. I istotnie marszałkiem krajowym został hr. Andrzej Potocki, należący do tej samej partyi, co i poprzedni marszałek, ale pozbawiony jego pracowitości i energii, i w dodatku skompromitowany brudną sprawą procesu z biednemi sierotami o przywłaszczenie znacznej sumy pieniężnej.

Już to magnaterya galicyjska bynajmniej nie dba o opinię publiczną. Świeżo naprzykład zdobyła skandaliczny rozgłos sprawa szkoły w Jezupolu, rezydencyi hr. Wojciecha Dzieduszyckiego—polityka, mówcy, dziennikarza, estetyka, profesora, poety, filozofa, powieściopisarza, szczęśliwego wynalazcy aluminium w mózgu ludzkim, posła na sejm i do parlamentu itd. itd. Szkoła jezupolska, posiadająca bardzo dużą liczbę uczniów, ma nadzwyczaj ciasny budynek, wskutek czego musi wynajmować osobne pokoje, za co płaci czynszu 100 złr. Przed pięciu laty gmina postanowiła wznieść nowy gmach szkolny i złożyła na ten cel przypadającą na nią część w stanisławowskiej kasie oszczędności. Ale nowego budynku dotychczas jeszcze niema, ponieważ p. hr. nie raczył wypłacić przypadającej na niego (jako właściciela obszaru lwowskiego) sumy, oświadczając, że „nie ma pieniędzy.“ Władza polityczna dotychczas nie ściągnęła w drodze egzekucyi tej sumy, bo któżby chciał zadzierać z magnatem-milionerem? W rezultacie gmina (tj. chłopi) płaci i za siebie i za p. hr., a oprócz tego płaci temu ostatniemu czynsz za owe dodatkowe pokoje, znajdujące się w budynku W. Dzieduszyckiego.

Kiedy mowa o szkołach, warto nadmienić jeszcze o jednym fakcie z tej dziedziny, wywołującym powszechne oburzenie. W Schodnicy, jednym z ośrodków galicyjskiego przemysłu naftowego, istnieje utrzymywana przez robotników i wzorowo prowadzona 5-klasowa szkoła ludowa. Istnieje już od sześciu lat i liczy przeszło 400 uczniów i uczenic, stanowiąc prawdziwą ozdobę szkolnictwa galicyjskiego. Przed kilkoma miesiącami Rada szkolna krajowa zwróciła się do komitetu szkolnego w Schodnicy z żądaniem usunięcia dwóch nauczycieli — p. Zygmunta Mayera i p. Słomny, zagrażając w razie oporu zamknięciem szkoły. Mógłby ktoś pomyśleć, że owi dwaj panowie są jakimiś zbrodniarzami, lub, w najlepszym razie, marnymi pedagogami. Tymczasem sprawa się ma zupełnie inaczej. Obydwaj są bardzo dobrymi i doświadczonymi pedagogami, posiadającymi długoletnią praktykę. Ale p. Mayer był redaktorem *Szkolnictwa*, organu postępowego nauczycielstwa, energicznie zwalczającego dążności reakcyjne Rady szkolnej krajowej, a p. Słonina podczas wyborów w r. 1895 „nietylko pouczał zebranych włościan, by nie wybierali właścicieli dóbr i księży, lecz samych chłopów, ale także pojedynczych wyborców w tym duchu informował“ (pismo urzędowe rady szkolnej w Myślenicach). Właściciele szkoły schodnickiej odwołali się do ministeryum, które po długiej zwłoce podanie odrzuciło. Wobec tego starostwo drohobyckie wydelegowało żandarmeryę do zamknięcia szkoły w Schodnicy, w razie, jeśli komitet szkolny nie wyrzuci na bruk p. Słoniny (p. Mayer usunął się dobrowolnie jeszcze w czerwcu i znowu objął redakcyę *Szkolnictwa* w Nowym Sączu).

Tymczasem agitacya stańczykowska, propaganda najwstrętniejszego antysemityzmu w szkołach ludowych, jest nietylko tolerowana, ale otoczona widoczną opieką władz. To, co jest zakazaną „polityką“ w czynnościach opozycyonisty, przestaje być „polityką“ u wiernego sługi kliki panującej.

„Polityka“ odgrywa w Galicyi pierwszorzędną rolę w dziedzinach bardzo dalekich niekiedy od wszelkiej działalności politycznej. Oto np. niezbyt dawno wszystkie pisma polskie podały wiadomość o powstaniu nowego pisma artystyczno-literackiego *Prąd*, którego kierownikiem miał być znany poeta, Jan Kasprowicz. Pierwszy numer nowego pisma miał się już niebawem ukazać, kiedy naraz publiczność lwowską zaalarmowały pogłoski o przewrocie pałacowym w redakcyi *Prądu*. Fundusze na nowe pismo miał dawać pewien przedsiębiorca naftowy, popierający jednocześnie dziennik liberalny, *Słowo Polskie*. Jakkolwiek Kasprowicz jest zdecydowanym ludowcem i pod względem swych poglądów społecznych stoi dziś daleko od kierunku *Słowa Polskiego*, to jednak aż do wyborów nic nie psuło harmonii pomiędzy wydawcą a redaktorem *Prądu*. Nadeszły jednak wybory, *Słowo Polskie* popierało sojusz demokratów „skoncentrowanych“ (opozycya demokratyczna) z lewicą i kahałem, ostro występując przeciwko kandydaturze Bojki, którego popierał, naturalnie, Kasprowicz — i harmonia została zakłócona. Wydawca zjawił się niespodziewanie w lokalu redakcyi *Prądu* (w chwili, kiedy redaktor oddał był do druku główną część artykułów, przeznaczonych do pierwszego numeru) i... wycofał się z „interesu.“ Umotywował swój krok powodami finansowymi, ale w wiarogodność tych motywów nikt oczywiście nie wierzy.

W ten sposób polityka zwichnęła przedsięwzięcie całkiem niepolityczne i to takie, któreby niechybnie przyniosło pożytek literaturze i sztuce naszej. Nie będziemy więc mieli w Galicyi pisma literackiego, mamy natomiast nowy dziennik w Krakowie *Nasz Głos*, organ Ehrenberga, Lewickiego itp. „dziennikarzy,“ jeśli się tak można wyrazić. Usunięci z *Głosu Narodu*, rewolwerowo - rynsztokowego dziennika, wydawanego w Krakowie na sposób amerykański, ku utrapieniu wszystkich uczciwych ludzi, pp. Ehrenberg i S-ka założyli *Nasz Głos*, kierownictwo zaś *Głosu Narodu* przeszło do p. Beaupré, jednego ze współpracowników *Czasu*. Obecnie prenumeratorowie *Głosu Narodu* otrzymują dwa pisma, gdyż wydawcy *Naszego Głosu* liczące na to, że dawni zwolennicy nie zechcą ich opuścić, posyłają im swe pismo bezpłatnie. Obydwa więc pisma, w jednakowym stopniu antysemicko-klerykalne, zwalczają się dziś wzajemnie.

Galicya ma obecnie stanowczo za dużo dzienników, bo w stosunku do liczby mieszkańców Krakowa lub Lwowa bez porównania więcej, niż Londyn, Paryż lub Berlin. Zwłaszcza Lwów jest obficie w dzienniki zaopatrzony. Oprócz urzędowej *Gazety Lwowskiej* i małego dzienniczka urzędowego w języku rusińskim, *Narodna Czasopyś*, wychodzą tu następujące codzienne organy różnych partyj politycznych: *Przegląd*, redagowany przez ex-postępowca Masłowskiego, organ najskrajniejszej reakcyi i jezuityzmu; *Gazeta Narodowa*, zwykle zwana „Narodówką,“ która przechodziła różne koleje, a obecnie jest organem namiestnika Pinińskiego; *Dziennik Polski*, pismo antysemickie, sprzedające się zresztą temu, kto więcej da, bez względu na wyznanie mecenasa; *Słowo Polskie*, organ przemysłu naftowego i „skoncentrowanych demokratów“: *Kuryer Lwowski*, przedstawiający stronnictwo ludowe; *Wiek XX* który nikogo po za redakcyą nie reprezentuje i jest organem partyi, która ma się kiedyś narodzić i *Przedświt*, klerykalny. Do tych pism polskich należy dodać dwa rusińskie: *Diło*, organ narodowców i *Ruslan*, organ partyi ugodowej, oraz dziennik staro-ruski, *Hałyczanyn*. A więc 12 pism na miasto niespełna 150-tysięczne!

Kraków posiada obecnie aż pięć dzienników: *Czas*, konserwatywno-klerykalny, organ stańczyków; *Nowa Reforma* liberalno-demokratyczna; socyalistyczny *Naprzód* i dwa pisma antysemickie, o których wspomniałem wyżej. Naturalnie poziom tych pism jest dość nizki. Żyją przeważnie dzięki nożycom, przedrukowują mnóstwo artykułów z pism warszawskich, a cały dział zagraniczny tłomaczą z organów prasy wiedeńskiej i berlińskiej. Prawie bez wyjątku istnieją jedynie dzięki zasiłkom czy to sfer rządzących, czy to jednostek, pragnących odgrywać rolę polityczną.

Daleki.

Z NIEMIEC.

Berlin, 7 października.

Czternaście lat mija od czasu, kiedy dyrektor hamburskiej szkoły sztuk pięknych, Alfred Lichtwarck, apostoł sztuki popularyzowanej, schodzącej niby filozofia Sokratesa z Olimpu na padół płaczu i pracy, wziął w obronę dzieciństwo „sielskie—anielskie“. Dlaczego — wołał — gołe i szare ściany szkolne, obwieszone w najlepszym razie chronologicznemi i genealogicznemi tablicami, korytarz długi, a ciemny i monotonny układ pokoi klasowych, przypominają dziecku więzienie? Dlaczegóż książka odstręcza je swą oschłością i nieestetycznym widokiem. Dlaczegóż duszyczka młoda, rwąca się nadaremnie do świata, piękna i radości, musi zrozpaczona szamotać się w nudnej i jednostajnej tresurze pedagogicznej? Otoczcie maluczkich światem dźwięków, kolorów i promieni słonecznych i przywróćcie im ich przyrodzone prawo niezmąconego szczęścia. W 1893 r. prof. Lange opracował w większem dziele estetyczną reformę systemu wychowawczego, a w 1896 r. powstaje w Hamburgu pierwsze „Stowarzyszenie nauczycieli dla szerzenia estetyki pedagogicznej.“ Zaczęto urządzać koncerty popularne dla dzieci i napawano słuch ich muzyką Bacha, oprowadzano je po muzeach, gdzie przed zdziwionym i pełnym zachwytu wzrokiem dziecięcym, roztoczył się świat tak piękny, jak bajki z tysiąca i jednej nocy; najgłośniejsi poeci pisywali dla nich wiersze i powiastki, dawano im do rąk książki szkolne z kopiami Michała Anioła i Rafaela, ściany pokoi pokryto wzorami pełnymi kolorów soczystych i żywych, oraz obwieszono podobiznami rzeczy klasycznych, kazano dzieciom rysować z natury, robiono z niemi wycieczki do miejscowości malowniczych, a nawet tu i owdzie (jak np. w jednem

z przedmieść berlińskich) zbudowano szkołę nie w stylu koszarowo - więziennym, lecz o architekturze kunsztownej, nasycającej duszę młodocianą radością i pięknem. Słowem, powstał ruch zmierzający do wzięcia rozbratu z jedną z najsmutniejszych stron starego szkolarstwa. Rzecz oczywista, iż zaśniedziała biurokracya, trzymająca się rękami i nogami tradycyi, zbywała wszechwiedzącą wyniosłością i sceptycyzmem porywy reformatorskie, nacechowane miłością do dzieci. Po długich latach wołania na puszczy, udało się nareszcie złamać lody obojętności i zwołać pierwszy wielki zjazd w sprawie sztuki stosowanej do wychowania. Zjazd ten, odbyty w przeszłym tygodniu w Dreźnie, zgromadził aż 250 osób. Obok artystów zasiadali tam urzędnicy, literaci, kierownicy muzeów, historycy sztuki, nauczyciele, inspektorowie szkół i wreszcie specyalnie wydelegowani przedstawiciele zarządów prawie wszystkich wielkich miast.

Zjazd miał na celu porozumienie się we wszystkich spornych kwestyach oraz zainteresowanie opinii szerokiego ogółu nowym prądem. Najlepiej uwydatnimy szczegóły programu ruchu estetyczno - pedagogicznego streszczając tu odczyty, wygłoszone na zjeździe.

Rozwodzono się przedewszystkiem nad „pokojem dziecinnym“ oraz jego zawartością. Z gier polecono przeważnie te, które rozwijają wyobraźnię; natomiast należy budzić zmysł rzeczywistości drogą obserwacyi przyrody i dzieł sztuki. Książka z obrazkami nie przykuwa dziecka, gdy ma je oglądać samo, lub nie otrzymuje potrzebnych mu objaśnień. Gruntownej reformy wymagają na przyszłość budowy szkół, gdyż obecnie nie przemawiają zupełnie do serca dziecka. W kwestyi wyboru miejscowości należy się radzić artysty. Formy architektoniczne powinny odznaczać się delikatnością. Trzeba się wystrzegać sutej ornamentyki, jakkolwiek nie zaszkodzi w tym wypadku szczypta humoru. Dużo światła i kolorów. Podwórze wraz ze studnią i ławkami powinno zachęcać dziecko do spędzania tam czasu.

Wiele trudności nastręcza „książka z obrazkami,“ tem bardziej, iż szablon i brak indywidualizacyi mogą tu narobić wiele szkody. Książka musi być rzeczą artystyczną, ale dopasowaną do potrzeb duszy dziecięcej. W książce tej dziecko przedewszystkiem upatruje rozrywkę i tylko dodatkowo szuka tam strawy dla swego umysłu. Z tej racyi niechaj głównie zaspakaja jego wyobraźnię i tryska humorem. Żywioł realistyczny jest niepotrzebnym balastem, a tryton jest tu może więcej na miejscu, niż pies gończy. Nie trzeba zapominać, iż dziecko żyje i obraca się w świecie cudów.

Co się tyczy nauki rysunków, to obowiązkiem jest wyzyskać w danym razie popęd dziecka do naśladowania. Pożądanem byłoby połączyć rysunki z przyrodoznawstwem.

Smak estetyczny najlepiej można rozwijać za pomocą oprowadzek po muzeach. Wykłady historyi i sztuki stanowczo są szkodliwe. Przy demonstracyach trzeba oryginałom dać pierwszeństwo i unikać katalogów. Zamiast drogich skioptyków, polecono dawać uczniom do rąk tanie lecz dobre reprodukcye, które mogą zabierać ze sobą do domu. Przedewszystkiem dziecko powinno poznać sztukę swego narodu, albo nawet swej miejscowości rodzinnej. Na Ateny i Rzym czas później. Sam wykład sztuki, podobnież jak cały system pedagogiczny, mają na celu zbliżyć dziecko z życiem i otoczeniem, lecz nie kształtować z niego istoty kosmopolitycznej, pozbawionej gruntu ojczystego pod nogami.

Takie są żądania idealistów estetycznych. Gdy słuchamy ich wywodów, pełnych rzewnej miłości do dziecka, mimowoli rozbrzmiewa nam w uchu „muzyka przyszłości,“ a myślą przenosimy się w świetlane światy innych czasów i innych stosunków.

Od rzeczy poważnych do śmiesznych jeden tylko krok. Będziemy zatem teraz mówili o pretensyach naukowych ultramontanów niemieckich. Jakeśmy już wspominali, partya centrum katolickiego potępia w czambuł całą naukę współczesną. Jej zdaniem, ta tak zwana wiedza nic nie warta, gdyż jest godnem litości i śmiechu zbiorowiskiem hipotez bardzo wątpliwych, formułek mglistych oraz prawd względnych a zmiennych. Ileż to razy zmienia nauka swą szatę, ileż razy zaprzecza samej sobie i powraca do prawd dawno zarzuconych! A tymczasem „Summa philosophiae de veritate fidei catholicae contra gentiles“ św. Tomasza z Aquino nie zmieniła się od XIII stulecia ani na jotę i jakby na urągowisko nauce współczesnej, głosi prawdy wieczne, niezachwiane. Ultramontanie nie mogą sobie zatem wybaczyć, iż dotychczas patrzyli obojętnie na to, jak zatruwa się duszę młodzieży współczesnej w sposób wołający o pomstę do nieba tak „przewrotnemi i bzdurnemi“ teoryami, jak transformizm Darwina. Ludzkość odpowie przed potomstwem, iż napychała mózgownice pokolenia współczesnego wiadomościami astronomicznemi i geometrycznemi, które przeczą wręcz kosmogonii Mojżesza. A ekonomia polityczna czyż nie wpajała wciąż przewrotowych żądań ludziom, zapominając, za Smithem i bezbożnym Millem, iż nie jednym chlebem człowiek żyje, co ważniejsza, iż cele ziemskie nie wyczerpują dążeń naszej duszy. Najgorzej jednak zgrzeszyły dwie wszetecznice: współczesna filozofia i historya. Filozofia współczesna uważa za swój słup ognisty, który ją wiedzie przez ciemnie ostatecznych zagadnień — Kanta, pomimo iż kacerz ten był wyklęty przez „Index librorum prohibitorum“ jako heretyk, prowadzący ludzi na manowce niewiary i stokroć niebezpieczniejszy od panteisty Giordana Bruno, spalonego na stosie przez Św. Inkwizycyę w 1700 r. Psychologia współczesna ośmiela się dać wykład o duszy, ale „bez duszy,“ tj. odmawia tej kategoryi znaczenia naukowego. Filozofia w sposób bluźnierski wyrzuciła ze świątyni wiedzy metafizykę i pozwala jej marznąć bez dachu nad głową. Cóż dopiero powiedzieć o historyi współczesnej: miast, jak to robił Bossuet, dowodzić, iż wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, historycy niemieccy, jak np. Lamprecht, Breysig, Quidde i inni zajmują się tak poziomemi sprawami, jak handel, życie społeczne itd., nie mówiąc już o szkole Rankego, owego szatana w ciele ludzkiem, autora historyi papiestwa. Dlatego też, nie chcąc brać dłużej odpowiedzialności na siebie za grzechy ludzkości, ultramontanie niemieccy postanowili działać, dopóki czas. Teraz, stojąc u zenitu swego panowania, chcą stopniowo wyplenić zielsko niewiary. Przedewszystkiem zatem żądali, aby w uniwersytetach, gdzie istnieją wydziały teologii katolickiej, stworzono katedry dla filozofii scholastycznej. Życzeniu temu stało się zadość. Następnie zabroniono katolickim studentom teologii słuchać pewnych wykładów. Tak np. we wszechnicy wrocławskiej anatema zawisła nad Ryszardem Mutherem, słynnym historykiem sztuki. A teraz przystąpiono do stajni Augiaszowej, zwanej historyą. We wszystkich zatem uniwersytetach w miejscowościach katolickich obok protestantów powinni wykładać historyę również katolicy prawowierni, bez heretyckiej skazy i zarzutu. Rząd początkowo wahał się, gdyż do czego ostatecznie doprowadzi takie wyznaniowe „równouprawnienie“ wiedzy. Ultramontanie mogą wprost lada dzień zażądać, aby wskrzeszono medycynę „katolicką,“ która przed 60 laty narodziła się w Bawaryi, lecz zmarła w wieku niemowlęcym z morderczej ręki Virchowa i tak zwanej ówczesnej szkoły würtzburskiej. Rząd jednak musiał ustąpić. Ultramontanie bowiem przypomnieli mu, iż w Berlinie i Wrocławiu nadał ekonomistom Wagnerowi i Sombartowi stróżów aniołów i korektorów w osobach prof. Wolfa i Reinholda. Dlaczegoż zatem protestantom nie przeciwstawić nadzorców katolickich? *Roma locuta est*, a słowa Rzymu stały się ciałem. Trzydziestoletni syn posła centrowego, Spahna, otrzymał nominacyę na profesora historyi w Strassburgu. Zapanowała tedy radość w Izraelu, którą, niestety, zmąciły dwa przykre zajścia. Przedewszystkiem wyszło na jaw, iż Spahn, już jako 26-letni młodzieniec, błądził. Habilitując się na docenta w Berlinie, oświadczył wówczas na odnośne zapytanie fakultetu, iż nieomylności papieskiej nie należy stosować do kwestyj wiedzy ludzkiej. Ultramontanie załamali ręce i kazali odprawiać wszędzie msze za zbawienie duszy, która jednak teraz prawdopodobnie się nawróciła. Niestety! Okazało się, iż pierwszy historyk „katolickiej“ historyi jeszcze przed rokiem pisywał doskonałe artykuły przeciwko ultramontanizmowi w gazecie antyultramontańskiej *Tagliche Rundschau*. Pismo to wyraziło gotowość ogłoszenia kilkudziesięciu nazwisk głośnych katolików, którzy w maskach pseudonimów dopuścili się ojcobójstwa.

H. F.

Z ŻYCIA FRANCYI.

Proletaryat intelligentny. — Dwa obrazki.

Ulica de la Bievre, biegnąca nad korytem rzeczki tego imienia, dziś pokrytem albo wyschłem, ale zawsze cuchnącem, jest jedną z najstarszych na lewym brzegu Paryża. Domy tam niskie, nędzne, ruiną grożące, pełne brudu i smrodu. Na jednym z takich strupieszałych frontów, nad parterowemi małemi okienkami, jest szyld z napisem: *Legumes Of. 10*. Lakoniczny ten szyld zawiera w sobie zarazem całkowity a smakowity jadłospis oraz bajeczną cenę. To jadłodajnia, zwana *Bibine*, a dobrze znana w tej dzielnicy. Tu „odżywiają się“ porcyą jarzyn gotowanych, za 10 centymów— nie jarosze z zamiłowania bynajmniej, ani też kawalerowie z niedalekiego *place Maub'*, którzy nie orzą ani sieją, a natomiast otrzymują środki do życia z rąk brukowych piękności, lecz ludzie, chący pracować i pracujący ciężko, t. zw. „bandzisi“ (*bandistes*).

Jest to — jak mówią — jeden z „tysiąca zawodów paryskich“ (proszę wierzyć, że kalembur jest tu zupełnie mimowolny), stojących otworem dla człowieka względnie wykształconego, w każdym razie co najmniej umiejącego pisać szybko i dość kaligraficznie, a niemającego stałej pracy. Przedsiębiorstwa ogłoszeniowe rozsyłają codzień dziesiątkami tysięcy najrozmaitsze prospekty; czasem robią to kandydaci do ciał reprezentacyjnych: prospekty noszą wówczas nazwę wyznań wiary... Otóż „bandzista“ (od *bande* — opaska) pisze cały boży dzień adresy na opaskach lub kopertach, w które później inny wyrobnik mniej „wykwalifikowany“ wkłada owo prospekty, a trzeci nakleja na nich marki pocztowe. „Bandzista“ siedzi cały dzień z okiem wlepionem w księgę adresową, z której adresy jeden po drugim mechanicznie wypisuje. Płacą mu od 1 fr. 25 ct. do 1 fr. 80 ct. za tysiąc opasek, a około 2 fr. za tysiąc kopert. Tylko człowiek nie-

zmiernie wprawny i oporny na skurcz mięśni ręcznych może *abattre* — „odwalić" tysiąc w ciągu dnia...

„Bandzista" zjada rano na śniadanie za 2 sous (10 centymów) chleba — na wagę ¼ funta — i za tyleż odpadków, a raczej skrawków wędlin, które masarz odrzuca, gdy obsługuje normalnego spożywcę. Wieczorem zaś, po całym dniu pracy, idą „bandziści" tłumnie do „Bibiny." Wzorowe to towarzystwo nie jada mięsa, nie pija żadnych alkoholów; najwyżej jakąś ciecz, zwaną przez gospodarza piwem, a której dzban, mieszczący trzy duże szklanki, kosztuje też 10 centymów. Uczta składa się z takiego dzbana, porcyi chleba i porcyi jarzyn. Żonaci (są i tacy szczęśliwi) starają się nabyć od jakiegoś żołnierza przed drzwiami koszar chleb kamienny za 20 ct. i po drodze do domu wstępują do jakiegoś rzeźnika po trochę odpadków mięsnych za taką wygórowaną sumę. Niektórzy—oczywiście żonaci — pozwalają sobie czasem na zbytek: jeśli zarobek tygodniowy był niezły, fundują sobie świąteczny obiadek w t. z. *pension ouvrière*, gdzie talerz jakiejś trucizny mięsnej z sosem kosztuje aż 20 centymów i można dostać coś w rodzaju wina. Jednakże nieraz zdarza się bandziście nie mieć pracy przez kilka dni, albo i tygodni, a — co za tem idzie — jeść raz tylko w ciągu dnia, albo też zupełnie suszyć. Jeśli to wypada w wigilię wielkiego święta, niewątpliwie notuje to starannie ów dyabeł na szczycie katedry Notre-Dame, o którym wspomina Wiktor Hugo...

Teraz — mieszkanie. Rozumie się, że „bandzistą" nie zostaje nikt z własnej a nieprzymuszonej woli, lecz zwykle dopiero po długich usiłowaniach znalezienia innej pracy, utrzymania się na powierzchni, podczas których wszelkie meble — jako rzeczy społeczne, własne objektywne życie — „oddzielają się" mniej lub więcej „magicznie" od swego właściciela. Temu więc nic nie pozostaje, jak mieszkać a raczej nocować w „hotelu umeblowanym." Za nocleg trzeba płacić 50 centym. jednorazowo; najcięższa to pozycya w budżecie biedaka. Często też składają się po dwóch i śpią w jednem łóżku.

Za to w zakresie ubrania mają „bandziści" swych własnych dostawców nadwornych. Kupcy owi przychodzą z towarem swym co wieczór do „Bibiny:" kapelusz kosztuje 15 cent. palto — najwyżej 50 cent., spodnie—tyleż, koszulę (bez gorsu!) można dostać za 50 cent. w specyalnym składzie przy ulicy Simon-le-Franc; ale częściej się zdarza, że posiadanie koszuli bywa tylko symbolicznie markowane za pomocą papierowego kołnierzyka, przypiętego wprost do kamizelki. „Bandzista" odznacza się jeszcze tym oryginalnym zwyczajem, że obuwia nie kupuje parami, lecz pojedynczemi sztukami: wszak gdy jeden kamasz już stanowczo „odmawia," drugi może się jeszcze dać namówić. Pojedyncza sztuka obuwia, niemająca drugiej — siostry i do obcej dobierana, nazywa się wymownie „sierotą" (*orphelin*); cena jej wynosi na tym rynku 20—25 centymów. Skarpetki—nie kosztują nic, bo ich się nie nosi.

Na tym wysokim stopniu cywilizacyi materyalnej znajdujemy przedstawicieli wszystkich warstw społeczeństwa, przynajmniej miejskich: robotników, wiecznych studentów, byłych podprefektów, literatów, poborców podatkowych, rejentów, komorników (tak, komorników!) — a często są to ludzie z herbem i tytułem także...

Czytając artykuł p. W. Umińskiego o stypendyach literackich, przypomniałem sobie też jednego chwilowego „bandzistę." Chłopiec 17-letni przyjechał z Warszawy do Paryża, bo zapragnął wyrwać się na czas jakiś całodziennej pracy buchalteryjnej i na szerokim świecie dopełnić wykształcenia, rozwinąć talent. O zdolnościach jego niech świadczy fakt, że w ciągu pół roku nauczył się mówić i wcale nieźle pisać po francusku. Napisał też w Paryżu dramat, w którym ze sporym talentem przedstawił i schłostał zepsute stosunki rodzinne w sferze drobnomieszczańsko-teatralnej warszawskiej; pisząc go, był też „bandzistą." Powrócił po dwóch latach do Warszawy, zdołał wydać swój dramat— jakby po to, aby wiedziano, kim mógł być, poczem — życie sobie odebrał...

Strasznem bywa wszędzie życie proletaryatu inteligentnego. Fernand Pelloutier w swej świeżo wydanej książce p. t. „La vie ouvrière en France" *), opowiada, że był raz naocznym świadkiem, jak pewien młody człowiek z wykształceniem uniwersyteckiem, ze stopniem *licencié ès lettres* (kandydat nauk literacko-filozoficznych) przyniósł do redakcyi pewnego pisma obszerny artykuł i prosił o przyjęcie go — za jeden obiad...

A. Hamon w swej „France politique et sociale" podaje następującą, na urzędowych źródłach opartą tablicę, malującą stosunek liczby kandydatów do ilości miejsc wakujących w ciągu roku w instytucyach municypalnych Paryża:

	miejsc	kandydatów	stosunek
Pisarze biurowi .	12	3126	260
Woźni	12	3511	292
Karawaniarze . . .	0	2423	2423
Stróże cmentarni . .	0	2323	2323
Dozorcy składów . .	0	683	683
Stróże w szkołach . .	20	2643	132
Nauczyciele	42	1847	44
Nauczycielki . . .	54	7139	132
Dozorcy robót uliczn. .	38	133	3
Stróże skwerów . .	12	24	2
Zamiatacze ulic . . .	750	5110	7
Pisarze lombardowi .	7	1272	181
itd. itd.			

Przeciętnie 36 kandydatów na każde z 1,120 miejsc wolnych...

Przeludnienie wielkich miast... Po co ci ludzie się tam pchają?!.. Więc oto autentyczny obrazek drugi — prowincyonalny:

O 133 kilometry od Paryża, na linii kolejowej, prowadzącej do Cherbourga, znajduje się stacya Romilly-la-Puthenay. Dzień w dzień przebiegają przez nią 64 pociągi osobowe i 28 towarowych. Stacya wysyła i odbiera co miesiąc około 3,000 telegramów. Na to wszystko jest jeden „naczelnik" stacyi i jeden wekslarz. Naczelnik jest zarazem telegrafistą, kasyerem, buchalterem, stróżem sygnałów; musi pomagać wekslarzowi w manewrach z pociągami towarowymi, do których trzeba najmniej dwóch ludzi wolnych. Ponieważ wekslarz jest zarazem roznosicielem telegramów, więc przez znaczną część dnia naczelnik stacyi zostaje sam jeden i musi wekslować, spotykać pociągi, sprzedawać bilety, telegrafować, dawać sygnały. Wstaje o 5-ej rano, kładzie się o północy. Literalnie nie ma czasu żywić się; je, pracując. Ma za to 1,900 fr. rocznej pensyi, od której kontrola odciąga mu po 10 fr. kary za różne drobne a w tych warunkach, oczywiście, częste nieformalności.

Jeden z naczelników tej stacyi, stojącej, jak widzimy, na wysokości wymagań techniki nowoczesnej, imieniem Terlier, powiesił się: tak mu się podobała ta praca. Poprzednikiem jego był niejaki Convert, którego zarząd kolei posłał do Romilly z Brestu, gdzie miał lepszą posadę biurową, za udział w zakładaniu stowarzyszenia zawodowego. Ten po roku — umarł z wyczerpania sił...

Ludność miejscowa tak współczuje biednym naczelnikom stacyi i tak jest oburzona na zarząd kolei, że gdy Terlier odebrał sobie życie, tłum odprowadził go manifestacyjnie na cmentarz. Ale następca objął posadę na tych samych warunkach— pocieszając się zapewne myślą o kadzidle dla umarłych...

Spol.

*) Niestety, wymienionej książki niedawno zmarłego autora, choć ozdobionej jego tytułem: „urzędnika do ankiet w biurze pracy przy ministeryum handlu," nie możemy polecać, przeciwnie, musimy ostrzedz, że treść jej niezupełnie odpowiada obiecującemu tytułowi. Książka zawiera sporo szczegółów, ale chaotycznie nagromadzonych: zamiast wyczerpującego przedstawienia choćby jednej strony przedmiotu, mamy deklamacye na temat niedomagań ekonomicznych we wszystkich krajach, ale bez zastosowania nawet jakiejkolwiek metody porównawczej.

BADANIA NAUKOWE.

PIERWIASTKI INDYWIDUALNE
w socyologii.

W ciągu ostatnich lat kilku na pierwszy plan w naszej literaturze filozoficznej wysunęło się nazwisko Edwarda Abramowskiego. Młody ten pisarz należy do grupy tych, których umysły wystawione były na zapładniające działanie prądu materyalizmu ekonomicznego; z wielu jednak składników, w tym prądzie zawartych, wyczuł on i uwydatnił specyalnie jeden, który już w samej organizacyi duchowej Abramowskiego o sympatyczną zawadził stronę, chociaż przy przenoszeniu teoryj materyalistyczno-historycznych na nasz grunt, przy nieuniknionem w tej fazie nabieraniu przez nie charakteru ostro-negacyjnego i pod pewnymi względami ascetyczno-sektowego, sam przez się nie zaznaczał się tak dobitnie, jak inne składniki. Specyalna ta najwybitniejsza cecha duchowości Abramowskiego, którą on też wniósł do teoryj materyalistyczno-historycznych, a raczej— w tych teoryach odnalazł i jest — w naszej literaturze przynajmniej — tym, co ją na pierwszy plan wyprowadził, to *kult człowieka*, jak sam nasz autor się wyraża — głęboki szacunek i względność dla żywej, konkretnej, cierpiącej i radującej się, zdolnej tworzyć i być kształtowaną — jednostki ludzkiej. W jednem z pierwszych wystąpień teoryi roztrząsanej odnalazł on określenie jej, jako „teoryi, która (w przeciwstawieniu do heglowskich absolutów) za najwyższą istotę dla człowieka objawia samego człowieka," i sam rozwija ją też, biorąc za punkt wyjścia „człowieka, rozpatrywanego jako istotę myślącą." Ten kult człowieka, to przekonanie o jedynie żywemu, czującemu i myślącemu człowiekowi właściwej istotności i rzeczywistości, określa całą dotychczasową, zarówno psychologiczną, jak socyologiczną działalność Abramowskiego. Z jednej strony, w psychologii, zwalcza on hypotezę „czuć elementarnych," która rozkłada naszą świadomość, gdyż według niej świadomość ta byłaby tylko syntezą owych elementów; z drugiej strony, w socyologii, która nas tutaj obchodzi, krytykuje i odrzuca pojęcie świadomości zbiorowej, któraby była syntezą świadomości indywidualnych w tem znaczeniu, że zawierałaby coś więcej, niż one, że do nich sprowadzićby się nie dawała. Wszelkiemu uosabianiu społeczeństwa, grup, instytucyj, jest Abramowski przeciwnym. Z drugiej jednak strony, zanadto jest on przesiąknięty uspołeczniającą tendencyą, zawartą w szkole materyalizmu ekonomicznego, aby mógł poprzestać na indywidualizmie wyodrębniającym jednostkę, na czysto formalistyczno-prawniczem pojmowaniu społeczeństwa, jako rezultatu dopiero ugody i współdziałania zasadniczo niezależnych indywiduów. Wie on, że jednakowo prawdziwemi w swej pozornie

wykluczającej się nawzajem kategoryczności są oba twierdzenia, jedno: „człowiek jest jedyną rzeczywistością w życiu społecznem," a społeczeństwo, grupa, instytucya — to abstrakcya, która po odjęciu wszystkich pierwiastków indywidualnych staje się czczym cieniem, — i drugie: „jedyną rzeczywistością jest pierwiastek społeczny," a jednostka — to tylko punkt przecięcia najrozmaitszych kół społecznych; a wiedząc to, stara się w zakresie uczuciowym — uspołecznić indywidualizm, zindywidualizować obowiązek społeczny, w zakresie myśli — rozwiązać powyższą sprzeczność jedyną metodą, jaką w filozofii sprzeczności rozwiązywać się dadzą, metodą dyalektyczną, przez rozpatrywanie zjawisk w ich stawaniu się. To go naturalnie naraża na zarzuty sprzeczności ze strony płytkich krytyków, mających o metodzie dyalektycznej tylko takie pojęcie, że łączy się ona z pewnymi — ich parzącymi — „nienaukowymi prądami umysłowymi" *).

Sprzeczność powyższą rozwiązuje Abramowski w sposób oryginalny: odróżnia mianowicie w zjawiskach naszej świadomości część intuicyjną i apercepcyjną. Intuicya — to niczem niedające się określić poczucie naszego „ja," właściwe każdej jednostce, którego ani my innym wyrazić i zakomunikować nie możemy, ani też u innych wyrozumieć i od nich przejąć. Skoro bowiem stany naszej świadomości formułujemy, to czynimy to przy pomocy apercepcyi, a nadając im nazwy lub kształty dotykalne, czynimy je dostępnymi dla innych. Apercepcya więc jest czynnikiem uspołeczniającym, wspólnym wszystkim jednostkom i tkwiącym w ich świadomości. Ona to sprawia, że wszelka potrzeba, odczuwana naprzód intuicyjnie, w sposób nieokreślony, formułuje się i uzewnętrznia w mowie oraz w środkach zaspakajania, a dalej — w instytucyach i obyczajach, które są już rzeczami objektywnemi i w swem istnieniu objektywnem niezależnemi od każdej poszczególnej jednostki, przeciwnie -zmuszającemi ją przystosowywać się do nich. Cechą więc faktu społecznego jest jego charakter *rzeczowo-psychiczny*, objektywno-subjektywny, apercepcyjno - intuicyjny. Indywidualne zjawisko psychiczne, aby się stać faktem społecznym, czyli istnieć dla ogółu, musi się uzewnętrznić w jakiejś rzeczy materyalnej; lecz rzecz też każda dopiero i tylko wtedy jest faktem społecznym, gdy odpowiadają jej pewne psychiczne stany jednostek, *równoważniki indywidualne*. Tę ogólną zasadę wykłada Abramowski w swych „Psychologicznych podstawach socyologii" i w niektórych paragrafach rozprawki p. t. „Pierwiastki indywidualne w socyologii." W „Le matérialisme économique et le principe du phénomène social" już kładzie on główny nacisk na indywidualną lub, ściślej, konkretno-ludzką stronę zjawiska, którą bada też w wymienionej ostatniej pracy. Impuls do przemian uprzedmiotowionych zjawisk społecznych musi mianowicie wychodzić od ich realnych równoważników indywidualnych; w jednostkach żywych bezustannie a stopniowo zmienia się stosunek między napięciem potrzeb, czyli kulturą, a uzdolnieniem technicznem: i na jedno i na drugie składają się zjawiska społeczne epoki poprzedzającej, należące do wszelkich kategoryj, od ekonomicznej aż do estetycznej i filozoficznej; przez to więc wszystkie normy i instytucye społeczne są nieustannie ściągane do „tygla" duszy indywidualnej, gdzie się przetapiają na nowo. Stany bowiem apercepcyjne i intuicyjne w konkretnym człowieku nieustannie się z sobą mieszają; różne fakty społeczne, z którymi jest on związany różnostronną zależnością, łączą się w jego duszy ze sobą i z całokształtem odziedziczonych uczuć i popędów. Wszelka więc zmiana jednego z nich za pośrednictwem właśnie i jedynie tego zarazem skupiającego i rozszerzającego pryzmatu oddziaływać może na wszystkie inne. Gdy jakaś norma społeczna utraciła swe żywe równoważniki w indywidualnej sferze potrzeb, to uschnąć musi; gdy w psychice jednostek zachodzą przekształcenia, to muszą się one też, mimo wszelkich przeszkód, wyrazić w instytucyach.

Poglądy Abramowskiego, przedstawione przez niego samego, jako interpretacya i rozwinięcie materyalizmu ekonomicznego, są, naogół biorąc, zupełnie słuszne, wyłożone jasno i pięknie, poparte doskonałymi przykładami, które szczególnie żałować każą, że autor nie wykończa od dawna, o ile nam wiadomo, zamierzonego i opracowywanego studyum o wiekach średnich *), i przez to głównie charakterystyczne w historyi socyologii, że w nich pojęcie ludzkości jako osoby — *Grand Etre*, Ducha objektywnego, ducha narodowego — ostatecznie rozkłada się na żywe konkrety, ludzi, niby mgławica przy bliższem obserwowaniu — na gwiazdy różnej wielkości, a zarazem traci doszczętnie swój pierwotny konserwatywny charakter, — a to w chwili, kiedy jednocześnie myśliciele, tradycyami związani ze szkołą indywidualistyczno-racyonalistyczną (jak np. Durkheim), dochodzą przeciwnie do pojęcia faktu społecznego, jako ponadjednostkowego, i obniżają wartość rozkładowej siły jednostki.

Lecz w ostatniej pracy Abramowskiego znajduje się kilka ustępów, kilka myśli, które wymagają krytyki a conajmniej wyjaśnienia, ponieważ obawiać się każą przegięcia znów łuku w odwrotną stronę, osłabienia zasady determinizmu społecznego, przeceniania „pierwiastków indywidualnych." Dla faktu indywidualnego Abramowski pragnie zastrzedz jakąś odrębną rolę w szeregu przyczynowym procesów społecznych. Oddziaływanie wszelkiego czynnika społecznego napotyka w duszy jednostki na mnóstwo stanów myślowych i uczuciowych, z którymi się kojarzy, tak że z tego „środowiska introspekcyjnego" wychodzi w społeczeństwo coś więcej i coś innego, niż doń weszło ze społeczeństwa. Gdy zatem objektywny fakt społeczny, np. cena, zmienia się tylko o tyle, o ile zmieniły się oddziaływające nań fakty społeczne, gdy jego zmiana ściśle równa się ich zmianie, z „pierwiastkiem indywidualnym" rzecz się ma inaczej: w duszy ludzkiej oddziaływanie społeczne ulega nowej przyczynowości, pierwiastek ten posiada pewną „samorodną żywotność" i wprowadza do łańcuchów przyczynowych społecznych niejaką dowolność. (§ 6, 7). W tem rozumowaniu zawiera się błąd, pochodzący z ukrytej ontologii. Bo jakiem że to prawem Abramowski rozpatruje „fakt społeczny" jako coś, żyjącego *naprawdę* niezależnie od dusz ludzkich, ulegającego oddziaływaniom przyczynowym, któreby się dokonywały po za obrębem dusz ludzkich? Łańcuch przyczynowości społecznej bynajmniej nie *przerywa* się (str. 53), „wchodząc do dziedziny indywidualnej": składa się on tylko i wyłącznie ze stanów indywidualnych. I dlatego nieprawdą jest, aby „ogniwo indywidualne przyczynowości samorodnie oddawało życiu społecznemu więcej, niż samo od niego otrzymuje": nie—ono tylko oddaje więcej, niż otrzymało od procesów społecznych *danej chwili*, ponieważ jest nagromadzeniem rezultatów procesów społecznych całego szeregu wieków przeszłych. A podział i rozmieszczenie tych rezultatów w duszach jednostek danej epoki też nie jest bynajmniej dowolnym ani przypadkowym; nie jest więc takiem również, lecz ulega dającym się odkryć prawom i—reagowanie tych jednostek na pobudki współczesne. Prawdą zatem jest najzupełniejszą, że sam proces ekonomiczny bez świadomej i celowej ideologii twórczej nie spowodowałby przemiany danego ustroju na jego antytezę, ponieważ ma on następstwa wielostronne, zarówno postępowe, jak reakcyjne, i dopiero celowa ideologia nadaje mu pewien określony kierunek, różnie wytykany przez różne grupy interesów społecznych (§ 16); prawda, że ta ideologia tworzy się w duszach indywidualnych ze „wspomnień i przewidywań" — ale z jakich wspomnień i przewidywań, i w jakich mianowicie jednostkach i grupach, i do jakich warstw przedostać się może i owładnąć niemi, i kiedy i jak się rozpowszechnić zwycięsko, to wszystko nie jest wcale dowolnem, lecz przeciwnie równie ściśle uwarunkowanem, jak wszystkie wogóle procesy społeczne. I nie mamy prawa mówić, że „czem się warunkuje sama ideologia twórcza, to jest dla nas obojętne" (str. 54): przeciwnie, jest to właśnie dla naszego czynnego udziału w procesach społecznych bardzo istotnem; kto zaś tak mówi, ten zdradza skłonność do pewnego gatunku twórczości, zwanego — utopizmem, a którego istota polega na wierze w skuteczne i wystarczające oddziaływanie jednej, zawsze tej samej idei—dajmy na to, etycznej — w jakichkolwiekbądź warunkach. Że naszemu autorowi zagraża przejęcie się przynajmniej taką dozą utopizmu, jaka tkwiła w t. z. „subjektywnej" rosyjskiej szkole socyologicznej, tego każe się obawiać drugi dziwny i niejasny punkt w jego rozprawce: uniezależnianie nauk ścisłych, a tem bardziej jeszcze — filozofii krytycznej, od wpływów ekonomicznych (§ 10). Sam Abramowski robi to wprawdzie w innej myśli: jednostronnie przypisując rolę „tygla," przetapiającego wpływy objektywne, tylko sumieniu ludzkiemu, a odmawiając jej — dziedzinie intelektualnej, twierdzi on, że „wiedza matematyczna i przyrodnicza pozostają zupełnie po za obrębem ewolucyi dziejowej," że filozofia i nauki ścisłe są bezklasowe. Czy warto obalać to — chyba nieopatrzne — twierdzenie przykładami, których tyle dostarczyć może choćby rozwój nauk przyrodniczych i filozofii w ciągu ostatnich trzech stuleci, idący równolegle ze wzrostem mieszczaństwa i jego walką o panowanie? Czy mamy przypominać, że zgodnie z własnemi założeniami autora i ta kategorya zjawisk społecznych sprzęga się w duszach konkretnych w jedną wewnętrznie współzależną całość ze wszystkiemi innemi, a więc i z ekonomicznemi? W dodatku tenże autor zapomina jakoś nam powiedzieć, czy tak uniezależniona i wyniesiona ponad inne zjawiska „filozofia krytyczna" nie posiada też żadnej władzy oddziaływania na procesy społeczne, czy może właśnie posiada władzę kie-

*) Przy tej sposobności „możemy zapewnić" p. dr. Balickiego, autora recenzyi w *Przeglądzie Filozoficznym*: a) że jeśli p. Abramowski na miejsce heglowskiej dyalektyki procesów rozwoju podstawia (!) dyalektyczne przeciwieństwa, tkwiące jakoby w jednem i tem samem zjawisku," to nie robi nic nowego ani nadzwyczajnego, ponieważ w całej idealistycznej filozofii niemieckiej, zaczynając od Fichtego, dyalektyka procesów rozwoju nieustannie wypływa z przeciwieństw jednoczesnych i z niemi się miesza: b) że towar, stający się pieniądzem, bynajmniej i nigdy nie traci swej (potencyalnej) użyteczności konkretnej, która przeciwnie jest warunkiem jego pieniężności.

*) Nie chcemy przez to bynajmniej uczynić pana Abramowskiego nieszkodliwym w socyologii — jak tego pragnąłby p. dr. Balicki, napędzając go do psychologii. Dziwni bo są ci krytycy „pewnych prądów umysłowych, niemających nic z naukowością wspólnego!" Raz wytykają tym „prądom," że nie powstają z nich żadne prace naukowe, a kiedy znowu ktoś właśnie łączy je z poważną pracą naukową, to ubolewają, że się marnuje, że „zakaża sobie wrodzoną jędrność i oryginalność myśli..." Trudno im dogodzić!

rowania nimi—jak tego chce szkoła „subjektywna“?

Skłonność utopizmu przejawia się też w poglądach Abramowskiego na rolę przeobrażeń polityczno - prawodawczych (§ 11, 15), które właśnie stanowią główną tendencyę „Pierwiastków indywidualnych w socyologii.“ „Stawiając tezę, że rolnikiem świata społecznego jest sumienie człowieka, mamy właśnie to na myśli, że istotnie znaczącem w przeobrażeniach społecznych jest to tylko, co jest indywidualnem w zbiorowościach; jakiekolwiek by teorye i hasła dana sekta lub partya polityczna stawiała w swoich programach i katechizmach, jakkolwiekby daleko sięgała jej ideologia oficyalna, pozostanie ona w rzeczywistości i w historyi tem tylko, czem są sumienia osobników w skład jej wchodzących.“ Jako ogólnik, jest to słuszne; lecz jeśli z tego wnioskujemy, że „zmiana dziejowa widoczna, dekretująca, poprzedzoną jest przeobrażeniem się sumienia indywidualnego,“ i mamy przytem na myśli przeobrażenie się *całkowite wszystkich* sumień, to już popełniamy wielki błąd. Myśl, że przeobrażenie prawodawczo-polityczne może być tylko „formalną stroną przewrotu już do'‐onanego“ w psychologii mas, jest dziedzictwem kontr-rewolucyjnej „historycznej szkoły prawa,“ i zawiera, obok wielkiej prawdy, i część błędu, właściwego całej tej szkole, jako reakcyi przeciw rewolucyjnemu racyonalizmowi. Błędem mianowicie jest odmawianie zmianom prawodawczo - politycznym siły twórczej, zapominanie o tem, że istota takiej zmiany polega właśnie na ujawnieniu, *uogólnieniu* i umocnieniu zmian dokonanych w obyczajach i w ustosunkowaniu sił społecznych Gdyby przemiana danego ustroju na jego antytezę czekać miała, aż nastąpi zupełne przeobrażenie się wszystkich dusz i sumień indywidualnych, to nie n tąpiłoby nigdy—wskutek odporności przeżytków. Celowa interwencya ideologii twórczej, której autor nasz w zakresie prawodawczo-politycznym jakoś wcale nie uwzględnia, jest tu walką z przeżytkami i bywa zwycięztwem dlatego, że po usunięciu tam i hamulców, w podniesionej temperaturze, same zmiany w sumieniach dokonywają się z piorunową szybkością. Przemrożona woda wymaga wstrząśnienia, aby nagle w lód się zamienić. Taka interwencya, jeśli nawet jest przedwczesna, nie zatrzymuje się w swych ostatecznych wynikach na tym punkcie, na którym zastała społeczeństwo: dowodem jest działanie rewolucyi francuskiej na Niemcy i Włochy. I dlatego twierdzić, że „decyduje *o wszystkiem* dokonany przewrót moralny; gdy ten jest spełniony, polityczny znajdzie *samorodnie* swoje formy, czas i siły“ — jest wielkim błędem, który może w pewnych warunkach być bardzo szkodliwym, bo prowadzi — w danym zakresie — do kwietyzmu i fatalizmu, — oczywistej antytezy przewodniego indywidualizmu naszego autora.

Właśnie dlatego, że wysoko cenimy Abramowskiego, jako socyologa, uważamy sobie za obowiązek powiedzieć, że jego ostatnia rozprawa jest słabszą od poprzednich. Zdawało nam się podczas czytania, że pewna chwiejność myśli odbiła się nawet na formie: nie znaleźliśmy tym razem (a przynajmniej — nie w tym stopniu) owej piękności i jasności stylu, owego ujmującego powagą i szczerością namaszczenia, które cechują np. najgłębszą może z jego prac — „Co to jest sztuka?“

Dr. K. Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

Lermontow: *Anioł śmierci.* Warszawa 1901. *Demon.* Warszawa 1901. Przetłomaczył z rosyjskiego Alfons Wróblewski.—Tytus Mniszek: *Jedna noc w Wenecyi.* Warszawa 1901.—Stellina: *Garść Poezyi.* Warszawa 1900.

Anioł śmierci należy do słabszych płodów muzy Lermontowa; pomysł wprawdzie oryginalny, ale wykonanie szwankuje pod niejednym względem. Kiedyś „anioł śmierci“ nawiedzał ludzi, jako tchnienie pokoju i błogosławieństwa, jak rozbłyśnięty uśmiech wiekuistej zorzy i szczęścia. Dziś lodowate są jego objęcia i mroźne spojrzenie, a pocałunek jego to pieczęć przekleństwa. Jak to się stało? Niegdyś zdjęty litością na widok rozpaczy kochanka, wstąpił w ciało umarłej dziewicy i odtąd pod postacią Ady, przebywał u boku Zoraima. Lecz nieprzyjacielska strzała wydarła temu z piersi życie. a niebiański duch, jak ów anioł z opadłymi skrzydły u Lamartina, wziąwszy na się ciężar prochu ziemskiego, wyzbył się swej czarodziejskiej mocy—osładzania cierpień istot gasnących. Widok zastygłej, bólem wykrzywionej twarzy ukochanego, pozostał na zawsze w pamięci anioła nawet wówczas, gdy zrzuciwszy z siebie swe chwilowe szaty, odzyskał swą dawną potęgę. Obojętnie spoglądał na ludzkie łzy, lodowate były jego uściśnienia i mroźny wzrok... W stosunku do tematu, autor zbyt szeroko roztacza różne perypetye historyi Ady i Zoraima, jednego z falangi odludków bajronowskich... Tu i owdzie znać lękliwe dotknięcie pędzla młodego jeszcze wówczas (1831 r.) poety. A jeżeli w dodatku „tam (w niebiosach) to, co kochał tu ziemskiego, *już zawsze będzie koło niego*“ (według przekładu Metelickiego)— powód do zemsty nad rodem ludzkim zniknąć musi..

Mimo te słabe strony poematu, pierwowzór Lermontowa, jest dla naszych tłomaczów wciąż niedościgłym. Przed 10-ciu laty tłomaczył „Anioła śmierci“ bardzo nieudolnie Koroway Metelicki, ale przynajmniej trzymał się ściślej oryginału. P. Alfons Wróblewski ma tę przewagę, że zastosował rym męski, niepotrzebnie zresztą używając prawidłowej zwrotki 4-wierszowej; spotykamy u niego niekiedy miejsca wcale szczęśliwe... Natomiast obchodzi się on z oryginałem najzupełniej dowolnie, zmienia cały sens, usuwa obrazy, będące własnością poety i zastępuje je własnymi, wypaczając nieraz znaczenie i koloryt obszerniejszych nawet ustępów. Myśl główna nie uwydatniła się dostatecznie. Gdy Ada na pobojowisku schyla się nad Zoraimem, ten jej zarzuca, że ją przywiodła: „zbyteczna miłość, *ciekawość płocha*!“ Umierający pociesza kochankę, że „drugiego serce twoje pokocha, wkrótce zupełnie zapomnisz o mnie!“ Ależ on właśnie użala się nad nią, że zostanie samotną, że nawet z innym szczęśliwą być już nie może!... Każe siebie ściskać „jeszcze, ach, jeszcze, silniej, goręcej.“ A tymczasem on się tylko skarży, że uściski jej dręczą go przypomnieniem minionego i możliwego szczęścia. Nie! ponownego przekładu „Anioła śmierci“ nie możemy uważać za pożądany nabytek!

„Demona“ posiadamy już zdaje się w czwartym przekładzie. Pierwszy z nich, bezimienny, ukazał się przed 20-tu laty w wydaniu *Przeglądu Tygodniowego*; późniejszy nieco znajdujemy w pośmiertnym zbiorku poetyckim Koroway-Metelickiego, i oto właśnie mamy przed sobą nowy, dokonany przez p. Alfreda Wróblewskiego. Przekład Sabowskiego jest mi nieznany.

„Demon“ należy do tych utworów literatury wszechświatowej, których dotykać wolno poecie jedynie. Niestety, żaden z tłomaczów Lermontowa poetą nie był; dokonać wyboru między nimi wprost niepodobna. Najdawniejszy przekład zawiera tu i owdzie wcale możliwe ustępy; spotykamy je również u Metelickiego, choć, na ogół biorąc, wiersz jego jest bezbarwny, a niekiedy dziwnie niezręczny. Najdowolniej jednak i najniesumienniej załatwił się z oryginałem p. Alfred Wróblewski. O zachowaniu subtelniejszego cieniowania, w którem nadewszystko spoczywa suggestyjna siła poezyi—o tym już mowy być nie może. Kuszący szept Demona wznieca niepokój w sercu Tamary. Słyszy ona, że łza jej nie wznieci życia w zabitym, że ten, mając oczy na rajskie otworzone rozkosze, nie zważa na jej skargi i ból. „Jak tylko ciemna noc oponą osłoni gór kaukaskich szczyt... ku tobie skrzydeł lot rozwinę i na twe rzęsy jedwabiste sny będę wiewał pozłociste“ (Metelicki). A w bezimiennym przekładzie czytamy: „Do ciebie ja przybiegnę znów i aż do świtu, nocnym mrokiem, rozwijać będę przed twym okiem, bogate skarby złotych snów.“ Żadnych żądań, tylko ofiara, tylko pociecha. I później jeszcze, kiedy Tamara już w klasztorze wśród modłów kościelnych słyszy ów znany sobie głos, gdy z pośród mgły kadzideł wynurza się naraz przed nią smutna postać strąconego ducha, kiedy wyrok upadku i zagłady za chwilę już ma się spełnić — wówczas nawet nie wie, w jaką otchłań, do jakiej przepaści prowadzi ją kusiciel... Lecz demon p. Wróblewskiego, nie robi sobie tyle zachodu; po co jakieś przeczucia, nieokreślone tęsknoty, niepokoje? Kwestyę należy postawić jasno. „On już daleko, — wynurza się wobec trupa oblubieńca,—odszedł na wieki, *więc* przyjmij serca mojego dar... Spiesz w me objęcia, *bo czas ucieka...*“ Jak w operetce! Podobnie wdzięczne są inne spotkania Demona z ukochaną jego. Kto chce sprawdzić, niech spojrzy nań, gdy ma zamiar przestąpić próg celi Tamary; dowie się wówczas np., iż „*tak* go upaja czar miłości, że chce stąd uciec, zbyć się go, ale o cudo! zamiast złości (?) oko mu gorzką spływa łzą.“ I to ma być litość, ma być pełne ofiarniczego poddania się i wyrzeczenia wzruszenie ducha, gdy mu wnikają w pierś żałosne skargi, upadającej pod brzemieniem swem, grzesznicy? Ale przecież (u p. Wróblewskiego, naturalnie) Demon zamiast łez najwyraźniej w tonach pieśni córki Hudała słyszy pytanie: „kiedyż przyjdzie on?“ Więc się zląkł natarczywości takiej. O parę kartek niżej dowiemy się rzeczy jeszcze dziwniejszych, a to że przyczyną buntu wygnańca było... prorocze widzenie postaci Tamary! Zaiste, jest to „*hyżo*“ mknący „*haos*“ niedorzeczności...

Przechodząc obecnie do tworów oryginalnych, przenieśmy się wraz z p. Tytusem Mniszkiem, bez naglącej zresztą potrzeby, na „jedną noc“ do Wenecyi. Dzieje tej jednej nocy zgoła niezawikłane. „Mąż zły, bezwstydny — tu piękny młodzieniec.“ Piękny młodzieniec woła przed oknem swej pani serca: „zbudź się, jedyna, dźwiękiem barkaroli!“ Nie widząc przecież skutku swej prośby, rzuca z rezygnacyą lutnię, „nim szczęście błyśnie *nowych* świateł smugą, nim się *rozjaśni* ciemnych losów chmura.“ Przeznaczenie jednak nie dało się spełnić tym przewidywaniom... nowego szczęścia, i wypadło pozostać przy starym. Donna Rosa ukazuje się na balkonie, stwierdza tę prawdę, że „jam taka biedna, tyś nieszczęśliwy,“ oraz tkliwie zaznacza, iż „nasze duchy ogniwem trwałem w niebie zbratane, lecz obce ciałem, i tak

się kochać wolno," i wreszcie postanawia zejść do gondoli Cavilla, „by potem wrócić do Tarquinia łoża, by na dół wrócić, na dół — *do prawideł*" (?). Wycieczka skończyła się smutnie, nie w myśl romantycznej zasady, a finał— walka na noże, krew, mąż zabity, kochanek uchodzi, donnę Rosę zaś spowiednik uprowadza do klasztoru i ta z westchnieniem ulgi ogłasza, że dzień „świta dla mnie promyczkiem nadziei." Więc wszystko dobrze. Wiersz deklamacyjny, rymy ubogie, w stylu, jak to mogliśmy zauważyć, tu i owdzie zdarzają się naiwności i niezręczności, stosownie zresztą do maryonetkowej psychologii osób — i dość nam już tej „jednej nocy w Wenecyi!"

Przenieśmy się natomiast do jakiegoś zacisznego dworku podolskiego lub wołyńskiego, gdzie żywot upływa bez wstrząśnień, gdzie co niedziela przykładnie słucha się kazań wiejskiego proboszcza, gdzie im mniej się ma styczności ze światem, z tem większą wytrwałością wyrzeka się na jego pokusy, niecnotę i zapominanie przykazań bożych, przeplatając gęsto te stereotypowe skargi westchnieniami, gdzie ucztą duchową, a zarazem pobudką „tworzenia" jest lektura Pola lub Kondratowicza na przemiany... „Są chwile jasne, chwile *przebudzenia*, Ze snów niemiłych, z duszy *odrętwienia*, kiedy się człowiek naraz *oprzytomni*; o wyższych celach i o Bogu *wspomni*... To jest pierwszy akord na lutni Stelliny... Widziano nieraz Ryszarda *młodego* w rówieśnym gronie; wśród miasta *wielkiego*, jak talentami słynął, jak przyświecał (?)." Na następnej stronie: „widziano nieraz Ryszarda za *stołem* przy sutej uczcie, z rozjaśnionem *czołem*..." Na takich rymach i na podobnie naiwnych tautologiach i wśród tak sentymentalnego nastroju, dopłyniemy aż do ostatniej karty zbiorku, przez kilka poematów (*sic!*) i mniejszych utworów lirycznych i epicznych. Wróćmy jeszcze do Ryszarda młodego, który rzucił się w szał wojenny, i „śledził *ruchy* wojny i *jej biegi*" dał się uwieść marzeniom ambicyi i sławy, wogóle uległszy pokusom świata ani myślał powtarzać sobie: marność nad marnościami i *memento mori*, lecz „śmiał się *nawet* z cudzej pobożności." O zgrozo! więc autorka, z powodów, zresztą bliżej niedocieczonych, uważa go za zgubionego niemal na duszy, a występujący w poemacie słudzy pewnego księcia—za zbrodniarza... A jaka subtelność analizy, jaka dokładność i wypukłość charakterystyki! Ryszard „pełen *werwy* pierwszy bywał w boju, a srogi, kto mu *odmawiał pokoju*" W niemałym jesteśmy kłopocie, o co pytać, o gramatykę czy logikę w takich oto wiązaniach zdań: „myśli do czynu wzywają, bo póki młodość, czynnym ruchliwym, a także warto i czuć się szczęśliwym. On również godzien skosztować nektaru, a iż był zdolnym użyć tego daru!„—„A, który *legnął* w obronie ojczyzny... albo na ciele nosił srogie blizny, lub żegnał druhów z ciężką w piersi raną." Mylnie mi się dotychczas zdawało, iż kto legł, ten już blizkich nie miewa i nie żegna się z nikim... Poglądając na pole, z którego śmierć zebrała obfite żniwo, autorka woła, załamawszy ręce: tu „trupów mnóstwo, znać tu *samowolę*!"

Należy wyznać, iż treść poezyi Stelliny w zupełnej pozostaje harmonii z jej formą. Pomysły blade, działania wyobraźni twórczej czy w szczegółach, czy w całości nie ma ani odrobiny. W poematach autorki nic się właściwie nie dzieje, choć niby się dzieje, wszelkie ruchy osób, wszelkie pobudki wewnętrzne ich czynów nietylko nie wiążą się konsekwentnie w jakiś szereg, lecz nawet w odosobnieniu nie mają w sobie nic uchwytnego; zastępuje je sentymentalno-moralizatorska i najzupełniej konwencyonalna deklamacya. Nie dotykam wcale przekonań i uczuć religijnych autorki, ale puszczać w świat „garści poezyi" nie należało... „Świat" jest przecież, jak wiadomo, tak złośliwy i niezbożny!

A. Drogoszewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚĆ. Jarowski: „Spokojni," szkice i obrazki (Spokojni, Na cmentarzu, Solidny interes, Cień, Aniołowie), nakł. księg. Dubowskiego.

— Gąsiorowski: „Pigularz." C. 1 rb. 20 kop. Nakład Dubowskiego.

— A. Dygasińskiego, nakł. Dubowskiego wyszły: „Żal," bajka z czasów pogańskich, str. 59, 20 kop.— „Maciek Fuła," str. 31, c. 10 kop. — „W parafii św. Huberta," str. 33, c. 10 kop — „Wróble," sielanka, str. 51, c. 20 kop — „Znajda," str. 32, c. 10 kop. — „Pan referent," str. 41, c. 10 kop. — „Głód i sumienie," str. 41, c. 10 kop.

— A. Konar: „Panny," str. 457. Petersburg, nakł. Grendyszyńskiego.

POEZYE. J. Wiśniowski: „Poezye." str. 205. Kraków. Skład u Gebethnera i Wolffa.

— J. Żuławski: „Poezye," wydanie nowe, z portretem autora, nakł. Friedleina, skł. gł. w księg. Wendego w Warszawie.

— L. Rydel: „Poezye," nakł. Friedleina, skład u Wendego.

— K. Laskowski: „Z chłopskiej piersi," śpiewki, serya II, str. 72, c. 20 kop., nakł. Dubowskiego.

MEDYCYNA. Dr. B. Polikier: „O stanie pedyatryi przed stu laty," odbitka z *Kron. Lek.*, str. 12.

HYGIENA. Dr. G. Petit: „Jak ochraniać dzieci od chorób," przeł. z franc. dr. Bartoszewicz. C. 20 kop., nakł. Dubowskiego.

SPRAWY EKONOMICZNE

TRUSTY AMERYKAŃSKIE.

Za siódmą górą, za dziesiątą rzeką, żył wielki miłośnik sztuk pięknych. Nietylko gromadził on i skupywał przez lat 20 najrzadsze i najcenniejsze okazy sztuki, nietylko strzepywał z nich kurz i przyglądał się im z wielką miłością, ale nadto ogłaszał katalogi swych zbiorów i wydawał prace w obronie tego lub owego obrazu, którego oryginalność ludzie mieli odwagę podawać w wątpliwość. Od czasu do czasu, przychodzili Anglicy w kratkowanych spodniach z Baedeckerem pod pachą, proponując zakup galeryi. Właściciel jej odrzucał z oburzeniem najlepsze oferty. Tak płynęły lata, aż oto pewnego pięknego poranku zawitał do naszego zbieracza pewien jegomość i przedstawiwszy się jako Mr. Morgan, oświadczył gotowość nabycia zbioru. Gdy otrzymał odpowiedź odmowną orzekł, iż jeszcze rozumie gdy rząd francuski nie chciał sprzedać rodaczce jego, pani Mackay, paryskiego łuku tryumfalnego, ale tu idzie wszak tylko o malowidła. Przytem Amerykanin zaofiarował tak bajeczną sumę, iż właściciel galeryi gorzko zapłakał, a wypłakawszy się do syta, sprzedał swą galeryę. Ile za nią otrzymał, po dzień dzisiejszy pozostało tajemnicą. Jedni wymieniają sumę 20 milionową, inni aż stumilionową. Trzeba bowiem wiedzieć, iż Morgan dorobił się swymi dziesięcioma palcami majątku wynoszącego 3 miliardy, czyli wyrażając się bardziej poglądowo i obrazowo, 3 tysiące milionów. Dla takiego człowieka wyżej przytoczone sumy byłyby bagatelą. Zdobycz swą, zapakowaną w skrzyniach, kazał Morgan przewieść do Londynu, gdzie pozostanie dopóty, dopóki mu się uda za pomocą swych „boss'ów" (polityków) i zaprzedanych mu posłów przeprowadzić w kongresie ustawę o zniżeniu cła od przedmiotów twórczości artystycznej. Rzecz oczywista, iż wysoka opłata graniczna tamuje napływ arcydzieł sztuki do Ameryki. Przewiózłszy zaś szczęśliwie swą galeryę do domu, Mr. Morgan postara się o powrotne podwyższenie cła, które sprzyjając wwozowi europejskich obrazów i posągów, tłumi rozwijającą się dopiero sztukę zaatlantycką.

Oto jeden z czynów Morgana dobitnie charakteryzujący nietyle jego, ile ową oligarchię, której głową jest nasz bohater. Jest to ten sam Morgan, który będąc świadomym znaczenia reprezentowanej przez się grupy, tak wychowuje syna swego, że do niego nikt z otoczenia nie ma prawa przemówić pierwszy, z wyjątkiem guwernantki. Jest to ten sam Morgan, który wraz z innymi mocarzami spekulacyi tworzy wielkie trusty przemysłowe, skupuje dla zrujnowania współzawodników linie kolejowe i okrętowe, kieruje za pomocą milionów wyborami, przeprowadza i znosi w kongresie wszelkie potrzebne mu ustawy, popycha państwo do wojen, trzyma w karbach swych rząd, policyę i ubezwładnione stowarzyszenia zawodowe. Jest to ten sam Morgan, który głosy milionów: „Umieramy z głodu, więcej zarobku!" — zbywa cyniczną odmową, a dla uspokojenia szemrzącej opinii publicznej, ofiaruje 10 lub 15 milionów na *public libraries*, uniwersytety i tym podobne instytucye, nasycające ducha ludzkiego. Ten Morgan ma prawo powiedzieć o sobie, jak niegdyś Ludwik XIV: „Państwo, to ja." Ta właśnie klika spekulantów natchnęła obecnego prezydenta, Roosevelta, do następującego kazania w jego „Ideałach Amerykańskich" („American Ideals"): „Niecny spekulant— pisze prezydent Stanów Zjednoczonych — który nabywa bogactwa przez to, iż oszukuje swych bliźnich, podchodzi sędziów i przekupuje prawodawców, ażeby na starość zażywać sławy jednego z najbogatszych ludzi Ameryki, wywiera zgubny wpływ na charakter, podrastającego, pokolenia, gdyż karyera jego uwieńczona powodzeniem, zaślepia i olśniewa ludzi... Mowy podżegające nie mogą sprawić większej szkody, niż egoistyczny i twardy kupiec lub przemysłowiec, co z premedytacyą utrzymuje innych w zależności, nie pozwalającej na ich łączenie się. Niema na świecie wstrętniejszej istoty od owego robigrosza amerykańskiego, który, lekceważąc swe obowiązki i nie szanując żadnych zasad, myśli tylko o tem, aby zbierać pieniądze, używać ich w najordynarniejszy sposób, spekulując bądź na papierach, bądź na kruchych przedsiębiorstwach kolejowych, aby umożliwić synowi swemu życie próżniacze i rozpustnicze lub wreszcie nabyć dla córki swej trutnia wysokiego rodu. Nie mniej niebezpieczni są ci, co wszelkie kwestye społeczne oceniają na zasadzie swej kasy, wszelkie urządzenia uważają za zbyteczne gdy nie dają zysku kupieckiego; nie mogą zrozumieć, iż poeta więcej przynosi korzyści, niż właściciel fabryki gwoździ."

Te słowa nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych nie wymagają żadnych komentarzy i jest to hańba dla Ameryki, iż ci, których wyklina Roosevelt, a mianowicie miliardowi właściciele miliardowych zjednoczeń przemysłowych, zwanych trustami, dziś wszechwładnie rej wodzą w zaatlantyckiej rzeczypospolitej. Zarówno w 1896, jak 1900 r. zwyciężyła podczas wyborów „platforma" sprzyjająca trustom, spekulanci, którzy od lat dwudziestu dążą systematycznie do opanowania krajowego przemysłu, rynku pieniężnego i giełdy, a co za tem idzie, maszyny państwowej i opinii publicznej. Ażeby zrozumieć rozwój i skuteczność ich po-

lityki machiawelskiej, trzeba wziąć pod uwagę, iż nigdzie współzawodnictwo i anarchia produkcyi prywatnej nie święciły takich cynicznych orgij, jak w Ameryce, gdzie brak tradycyi i średniowiecznych pozostałości feodalno - cechowych sprzyjał rozmachowi instynktów szachrajskich. Jako reakcya przeciwko temu rozkiełznaniu handlowemu, powstały owe sławetne trusty, same będąc wynikiem najbezczelniejszych machinacyj, urągających elementarnym pojęciom moralności. Jhon Rockefeller pierwszy połączył wszystkich wielkich nafciarzy w jeden związek, a mających zgodę luzaków wywłaszczał bez miłosierdzia, lekceważąc wszelkie „przesądy moralne." Tak np. zawarł z kolejami tajną umowę dla uzyskania ulg taryfowych, chcąc zaśześrodkować taktykę wojenną, stworzył sztab generalny, tj. centralny zarząd kierowniczy i skarbowo-handlowy. Powodzenie pierwszej próby zachęciło innych do naśladownictwa i w ten sposób powstał pierwszy tuzin trustów, których faktycznego istnienia nic nie zdradzało, oprócz ich nikczemnych forteli.

Otwarcie proklamowano nieograniczoną wolność handlu, jako świętą, nietykalną zasadę, a po cichu wywłaszczano, kopano dołki, przekupywano i przyjmowano łapówki. Sprzeczność ta przybrała tak gorszące rozmiary, iż wywołała powszechne oburzenie publiczne. Dwadzieścia cztery rozmaitych zakazów wydano wnet przeciwko trustom w rozmaitych stanach Ameryki. Już około roku 1890 można było z zadowoleniem stwierdzić, iż podczas przesilenia ekonomicznego kilka wielkich trustów wyzionęło ducha i oczekiwano rychłego zgonu pozostałych instytucyj handlowych. Ale tu zaszła rzecz dziwna. Te stany, które nie wzięły udziału w powszechnej naganie na instytucye handlowe, zaczęły wydawać jakoś ogromnie liberalne prawa dla towarzystw akcyjnych. Wprawdzie trustom wypowiedziano wojnę na życie i śmierć, ale na akcyjne stowarzyszenia spadła niezwykła łaska. I oto wszystkie trusty przybrały formę niewinnych na pozór instytucyj tego ostatniego rodzaju, a od tego czasu datuje się ich zmartwychwstanie i rozkwit. Pomimo iż centralny zarząd kierował produkcyą oddzielnych przedsiebiorstw i szukał zbytu dla towarów wszystkich filij, wchodzących w skład trustu, cały konglomerat przedstawiał prawnie towarzystwo akcyjne, posiadające i skupujące akcye w innych stanach.

Podczas gdy w r. 1879 kapitał zakładowy wszystkich trustów wynosił zaledwie 150 milionów dolarów, dziś suma ta podskoczyła do 5 miliardów dolarów, czyli 10 miliardów rubli. Przed kilku miesiącami 8 największych trustów za inicyatywą Carnegiego i wyżej wspomnianego Morgana utworzyło jedno wielkie przedsiebiorstwo, oparte na kapitale, który na nasze pieniądze wynosi 5 miliardów rubli. Pierwszym manifestem programowym, wydanym przez ten trust, był zakup trzech największych linij okrętowych Ameryki, aby módz kontrolować wywóz całkowity stali i żelaza z Ameryki. W chwili obecnej ogół trustów stał się generalnym dostawcą wszystkich przedmiotów zapotrzebowania przeciętnego Amerykanina. Kołyska, nad którą śpiewają mu piosenkę o tem, iż stanie się magnatem pieniężnym, pochodzi z zakładu trustowego, podobnie jak trumna, w której składają szczątki jego do ziemi. Gazeta, która wciąż powtarza refren: „Jeden jest Allah, a Morgan i Rockefeller jego prorokami," jest tak samo fabrykatem trustowym, jak książka wydana w obronie „wolności ekonomicznej" i skierowana przeciwko nowym despotom pieniężnym. Słowem, trust zapanował wszechwładnie nad przemysłem amerykańskim. Żaden trust nie ma potrzeby zadawać sobie aż tyle trudu, aby podbić całą odnośną gałąź i wyciąć w pień „autochtonów" danego terytoryum przemysłowego. Wystarczy tylko „pacyfikować" lwią część obszaru, a reszta mieszkańców bądź sama złoży oręż, przekonawszy się o bezowocności dalszej walki, bądź też będzie dalej szamotała się bezsilnie w swej nienawiści do „nowych panów."

Ta garstka „outsider'ów" nie może ani podnosić ceny, ani obniżać jej wbrew woli trustów, dopasowujących produkcyę do wymagań rynku lub własnych spekulacyj. A jest to tem trudniej, iż potęga trustu nie opiera się bynajmniej dziś wyłącznie nawet na kompleksie przedsiebiorstw określonego rodzaju. Kapitaliści, należący do jednego trustu, umieszczają swe fundusze i w innych wielkich przedsiebiorstwach pokrewnej, a nawet odmiennej kategoryi. Rockefellerowska drużyna np. z trustu nafcianego zagarnęła za pomocą przekupstw i ofiarowania wielkich funduszów na cele tej lub innej partyi, oświetlenie gazowe i elektryczne, oraz komunikacyę miasta Nowego-Yorku. Słynny „trust" stowarzyszeń ubezpieczeniowych (Mutual Life Insurance C-o) nietylko posiada swój własny olbrzymi bank, ale nadto umieszcza jego depozyty, wynoszące około 600 milionów rubli, w szeregu wielkich przedsiebiorstw i majątkach ziemskich. Ta emigracya kapitałów płynnych z jednego trustu do drugiego, ten wzajemny zakup akcyj wytwarzają jedną wielką wspólnotę trustów, opartą na miłości, równości i braterstwie. Współzawodnictwo ustępuje miejsca solidarności, a zjednoczony świat trustów występuje ławą przeciwko milionom swej klienteli, przeciwko milionom pozostającym na jego żołdzie i najmie, przeciwko społeczeństwu i państwu— a to wszystko dzieje się w imię wielkiej świętej zasady „Enrichissez-vous."

(D. n.)

H. Forszteter.

PRASA POLSKA

Krakowski *Głos Narodu* podaje następujące szczegóły o zajściu na granicy galicyjsko-pruskiej (według *Gazety Polskiej*):

„Ponieważ pruskie władze policyjne robią niezmierne trudności naszym rodakom na Górnym Śląsku, nie pozwalając im na odbywanie zebrań, wieców i zawiązywanie Towarzystw, przeto od dłuższego już czasu weszło w zwyczaj, że Polacy z Katowic, Mysłowic i innych miejscowości okręgu przemysłowego, przy sprzyjającej pogodzie, urządzają wycieczki na stronę austryacką, aby tu na ziemi krakowskiej używać konstytucyjnych wolności, zabranianych im bezprawnie na Górnym Śląsku.

Taką to wycieczkę urządziło d. 29 września, w niedzielę, liczne grono Polaków Górnego Śląska do pogranicznej stacyi Brzezinki, aby stąd, po przejściu granicy galicyjskiej, zrobić pieszą przechadzkę, swobodną od widoku dozorujących wiecznie pikielhaub policyantów pruskich

Już będąc na ziemi księstwa krakowskiego, spostrzegli Górno-ślązacy pomiędzy sobą kilka dobrze znajomych, ale mimo to obcych twarzy: żandarmi pruscy, przywdziawszy cywilne ubranie, wmieszali się pomiędzy wycieczkowiczów, licząc na to, że wobec znacznej liczby uczestników wycieczki, pozostaną niepoznani i będą mogli ich śledzić.

Gdy ich poznano, jeden z uczestników wycieczki poprosił obu niepożądanych gości grzecznie, ale stanowczo, aby opuścili towarzystwo. Na to starszy z nich rangą odezwał się z arogancyą: „Milcz pan; wszak panu wiadomo, że jestem waszym starszym wachmistrzem!" Dzięki interwencyi jednego z miejscowych obywateli, który groził odwołaniem się do policyi austryackiej, udało się pozbyć nieproszonych gości, którzy wśród powszechnych głosów oburzenia musieli wreszcie cofnąć się za pruską linię graniczną. Sprawa ta jednak miała przykry epilog. Przy powrocie bowiem, w pogranicznej stacyi Brzezince, żandarmi pruscy, tym razem już w pełnych uniformach, zarządzili osobistą rewizyę rozmaitych członków wycieczki. Z kilku Polaków spisano protokół policyjny o noszenie uniformów sokolskich."

NA MARGINESIE.

Zarazki tuberkuliczne u dzieci. Świeże obserwacye wykazały, że przyczyną masowego rozpowszechnienia tuberkuł wśród dzieci w wieku od 1—2 lat jest czołganie się maleństwa po ziemi, wskutek czego przylega do nich brud i pył zawierający bacylusy tuberkuliczne które za pośrednictwem rąk dostają się do nosa i do buzi. Doktór Dieudonne zebrał wydzieliny nosowe i brud z rąk 15 dzieci, poddał kulturze i zarazki wyhodowane zaszczepił 88 świnkom morskim. Z tych pięć zdechło na tuberkuły, jak pisze w monachijskiem tygodniowem piśmie lekarskiem. Stąd należy wyciągnąć ten wniosek, że nie można, sadzać dzieci na gołej ziemi, lecz trzeba ją nakryć czystem suknem.

(*Frank. Zeit.*)

— W lasach brazylijskich żyją podobno węże śpiewające, *suru-cucu* i *sucurin*, czyli *boa anaconda*. Kiedy samiec suru-cucu wraca do swego legowiska wieczorem z polowania na pumy, daje znać o swojem zbliżeniu łagodnym, przeciągłym świstem, na który samica odpowiada krótszym, ostrzejszym dźwiękiem. Inżenierowi Frok, który nauczył się naśladować te głosy, udało się sprowadzić tym sposobem aż dwa węże do swego obozu. Są inne jeszcze węże z tego samego gatunku *boa*, długie na 10 do 12 metrów, które żyją w głębinie wód i jezior i porozumiewają się między sobą głosami podobnymi do przytłumionego ryku jaguara. Indyanie naśladują te głosy, uderzając liśćmi palmowymi po wodzie, a ryk, którym wąż odpowiada z głębi fal, ostrzega ich o niebezpieczeństwie przechodzenia w tem miejscu rzeki w bród. Taki sam skutek wywołuje wystrzał dany horyzontalnie nad powierzchnią wody.

(*Le Temps*, *Revue universelle*).

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Wydany został cyrkularz do gubernatorów, w którym powiedziano, że wobec prawie corocznie powtarzającej się klęski nieurodzaju w niektórych guberniach państwa, konieczną jest potrzeba przychodzenia z pomocą ich ludności. W tym celu zarządy gubernialne powinny nawet w latach urodzaju rozpoczynać na małą skalę różne roboty publiczne, aby, w razie potrzeby, można było je przyspieszyć i powiększyć. W cyrkularzu powiedziano, że system ten miałby tę dobrą stronę, iż nie pozwalałby sądzić ludności, że roboty przedsiebrane są jedynie dla jej pomocy, przekonanie to bowiem osłabia zabiegliwość, chęć do pracy i samodzielnej walki o byt

— Zatwierdzona została ustawa Towarzystwa kredytowego w Raciążu, przy zapomodze 2,000 rb., udzielonej przez Bank państwa na kapitał zakładowy.

Rozporządzenia urzędowe. P. oberpolicmajster m. Warszawy rozkazał organom policyi, w wykonaniu okólnika ministra spraw wewnętrznych o regulamie urządzania przedstawień, koncertów i zabaw publicznych na cele dobroczynne, przestrzegać: 1) Ażeby żadne z tego rodzaju zebrań, urządzanych bądź przez stowarzyszenia, bądź przez osoby prywatne, nie odbywały się bez odpowiedniego pozwolenia: gdy zaś one już zostało wydane, wymagać od organizatorów wskazania miejsca i czasu, gdzie ma się odbywać sprzedaż biletów wejścia, afiszów i programów, oraz złożenia deklaracyi, że, pod grozą odpowiedzialności prawnej, bilety, afisze i programy nie będą rozprzedawane po do-

mach, ani też rozdawane komukolwiek do sprzedaży. 2) Na każdą taką zabawę ma być delegowany oficer policyi, który będzie obowiązany: a) asystować w czasie oznaczonym przy sprzedaży biletów wejścia, po uprzedniem skontrolowaniu ilości biletów i sprawdzeniu, czy każdy z nich posiada stempel kancelaryi p. oberpolicmajstra. Gdy sprzedaż trwać będzie dwa lub trzy dni, kasa po zamknięciu będzie opieczętowana i oddana organizatorowi na jego odpowiedzialność; b) kontrolować wszystkie wydatki i przestrzegać, ażeby wszystkie były uwierzytelnione odpowiedniemi dokumentami, co wraz z odcinkami biletów ma być odesłane do kancelaryi oberpolicmajstra; c) powinien zażądać od organizatorów zabawy złożenia na swoje ręce całego dochodu czystego, który to suma ma być przedstawiona w kasie kancelaryi oberpolicmajstra do odpowiedniego pokwitowania.

Z uniwersytetu. Powstał projekt dopuszczenia wolnych słuchaczów do wykładów uniwersyteckich: dotychczas przyjmowano ich w bardzo ograniczonej liczbie.

— Komisya obradująca nad reformą uniwersytetów, podniosła projekt, aby kobiety były przyjmowane na wydział medyczny i filologiczny w stosunku 10% ogólnej liczby słuchaczów.

Ruch kobiecy. W Szwajcaryi 16,000 kobiet podpisało petycyę do związku szwajcarskiego o pozwolenie używania nazwy „pani“ tym matkom niezamężnym, które same swoje dzieci własną pracą i kosztem wychowują.

— W Kroacyi na uniwersytecie w Agram kobiety uzyskały pozwolenie słuchania wykładów na wydziale filozoficznym.

— Liczba słuchaczek w uniwersytetach szwajcarskich zwiększa się tak znacznie, że w niektórych przewyższa liczbę studentów; w Genewie uczęszcza na wykłady 163 kobiet i 183 mężczyzn, w Bernie — 190 kobiet i 174 mężczyzn. Ogólna zaś liczba słuchaczek w uniwersytetach szwajcarskich wynosi 511.

Głosowanie kobiet. W Belgii prowadzi się zażarta walka o uzyskanie dla kobiet prawa bezpośredniego głosowania. W wielu stanach Ameryki i Australii przywilej ten stał się już ich własnością, w Europie nie przyznano go im jeszcze nigdzie. W parlamencie belgijskim występują przeciwko niemu wszyscy członkowie liberalni, klerykaliści nie są mu przeciwni, gdyż w razie przeprowadzenia uchwały spodziewają się wzmocnienia swego stronnictwa przez żywioł kobiecy tak bardzo poddany wpływom duchowieństwa. Na ostatniem zebraniu rady związku robotniczego, w lipcu, Vandervelde oświadczył się bezwarunkowo za prawem głosowania dla kobiet. Berragen w imieniu socyalistów flamandzkich poparł je także, dodając, że „przyznanie kobietom tego prawa będzie dla nich najlepszym środkiem wykształcenia politycznego.“ Na zebraniu d. 9 lipca, w Brukseli, gdzie przewodniczyła panna Gatti de Gamond, odpowiedział Vandervelde na zarzuty stawiane przez innego mówcę. „Pragniemy przedewszystkiem sprawiedliwości, a przyznanie prawa głosowania kobietom będzie wypełnieniem tego zadania — da wolność uciśnionym pracownicom, mającym dziś nad sobą dwóch władców: przedsiębiorcę i małżonka.“

Kursy. Kijowskie Towarzystwo rolnicze urządza kursy rolniczo-gospodarcze dla osób dorosłych płci obojej. Wykłady rozpoczną się d. 14 b. m i trwać będą do 14 marca 1902 r. Wykładane będą: zasady chemii i fizyki, zoologia, botanika, rolnictwo, hodowla bydła, nauka o maszynach i narzędziach rolniczych, budownictwo wiejskie, ekonomia rolna. Wykłady miewać będą profesorowie uniwersytetu i politechniki kijowskiej, nauczyciele średnich zakładów naukowych oraz specyaliści.

Koleje i komunikacye. Na ostatnim zjeździe przedstawicieli kolejowych uchwalono zaprowadzić w wagonach książki zażaleń. Znajdować się one będą w rękach nadkonduktorów.

Szkoły. Z wprowadzeniem do programów średnich zakładów naukowych wykładów nauk przyrodniczych, daje się odczuwać brak nauczycieli tych przedmiotów, przeto zwierzchność niektórych gimnazyów zwróciła się z przedstawieniem do kuratora okręgu naukowego warszawskiego o powierzenie wykładu tej nauki lekarzom szkolnym lub innym, odpowiednio uzdolnionym.

Świadectwa nauczycielskie. Zniesione zostało rozporządzenie, obowiązujące nauczycielki i nauczycieli prywatnych do składania co lat pięć egzaminu w celu uzyskania patentu na prawo nauczania. Ministeryum postanowiło obecnie, że wszelkie świadectwa nauczycielskie nie podlegają żadnym ograniczeniom pod względem czasu.

Zdrowie publiczne. Ogłoszono czasowe przepisy o zaprowadzeniu na kolejach żelaznych środków sanitarnych zapobiegawczych, w celu walki z dżumą.

Wiadomości polityczne. Półurzędowa *Nordd. Allg. Ztng* potwierdza wiadomość, że rząd niemiecki zaproponował Chińczykom zwrot starożytnych instrumentów astronomicznych, zabranych przez Walderseego z warty pekińskiej. Rząd chiński odpowiedział, że ze względu na wysokie koszty i trudności przewozu, oraz ponownego ustawienia instrumentów, zrzeka się ich odbioru. Pisma liberalne uważają propozycyę rządu niemieckiego za naganę dla Walderseego, który zabrał je prawem łupu, chociaż formalnie był sprzymierzeńcem rządu chińskiego w walce z bokserami.

Zmarli. Aleksander Preiss, prawnik, w Warszawie, w 80 roku życia.

— Ludwik Szwede, przemysłowiec, w Warszawie, 85 lat.

Odpowiedzi Redakcyi.

Moriasowi. Wiersz nie do druku. W pieśni Pańskiej, niestety, jest wszystko, prócz znajomości języka i logiki.

Panu Cetnerskiemu, Chiłok Zabajk. Prosimy zawiadomić nas o najbliższej stacyi pocztowej. Do Chiłkowa poczta nie przyjmuje żadnej posyłki. Książki nie możemy wysłać. „Poradnik“ z wysyłką kosztuje 3 rb. 75 kop. Otrzymaliśmy na ten cel tylko 2 rb. Komplet „Prawdy“ wysłany.

Panu Lassota w Dobrowieliczkowce. Roczna prenumerata „Książki“ wynosi 2 rb. 50 kop.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава, 27 Сентября 1901 года.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.